TYDZIEŃ

NR 14 (90)
ROK III

11.IV.1948
CENA 25 ZŁ

ILUSTROWANE PISMO TYGODNIOWE



W DZISIEJSZYM NUMERZE ROZPOCZYNAMY DRUK EGZOTYCZNEJ

POWIEŚCI PIÓRA ZNANEGO MARYNISTY STANISŁAWA MARII SALIŃSKIEGO — p.t. „BENIAMIN"

NAJMILSZE DZIECKO „TYGODNIA"
NASZ WIELKI KONKURS FOTOGRAFICZNY


147. „Atia" Krzewniak


128. Mały łobuziak — Jedruś M. z Sopot


124. Sierotka z Pabianic



Z CYKLU: „POZNAJEMY DZIECI CAŁEGO ŚWIATA"
w ten pomysłowy sposób w skwarny dzień mały Koreańczyk — Stuko gasi pragnienie.


142. Mały psotnik — Jola Kosiakiewicz


150. Mareczek Sochacki (Sosnowiec)


132. Pierwsze ząbki Mai Gumińskiej (Łódź)


136. Helusia i Januszek Smolińscy (Lipno)


101. Terenia Gietka (Warszawa)


131. Wiesio Jurkiewicz (Kętrzyn)


148. Czarny Piotruś po powrocie z zagranicy


134. Henio Rybicki (Gdańsk)


141. „Maciuś" Pietkiewicz (Suwałki)


70. Tadzio Wesołowski (Rzeszów)


87. Ewunia Skowrońska wita uśmiechem dzionek


137. „Zbuntowany" Wojtuś Ostrzycki


146. Krysia Lesiak kokietuje Zbyszka


117. Krysia Glamkowska (Warszawa)


149. Maciuś Niemirycz (Gdańsk)


129. Krzysio Gałecki (Chodaków)


130. Izia Małyka (Grębów)


143. Pierwsze kroki Jasia Nogasia (Pacanów)


122. Halinka Leszczyńska (Kraków)


139. Zadumana Basia Jaśkiewicz (Toruń)


135. Krysia Kaszubianka z Pomorza


133. Najmilsza zabawka Ani Czerwińskiej


140. Czy Ewa Liebertówna może się podobać?


123. Małgosia Witkowska (Skolimów)


138. Zbysio Polak i jego niedźwiadek (Wrocław)


144. Przepraszam, ale dolna część mojej garderoby musi wyschnąć


125. W oczekiwaniu św. Mikołaja, Marzenka, Jagódka i Pawełek Kaczmarek


127. Zosia Budziszewska pierwszy raz na huśtawce


121. 6-cioletni skrzypek Adaś Górski koncertował już z wielkim powodzeniem


145. Januszek Krassowski (Warszawa) lubi podróżować

ALEKSANDER THEN

DOKTRYNA I PLAN

Dnia 3 bm. prezydent Truman podpisał uchwalony przez Kongres amerykański plan pomocy Europie. Poniżej zamieszczamy artykuł wybitnego publicysty politycznego, red. Aleksandra THENA, przedstawiający we właściwym świetle plan Marshalla, stanowiący nautralne rozwinięcie antydemokratycznej doktryny Trumana.

Redakcja.

PRZEZ lat 100 polityka zagraniczna Stanów Zjednoczonych oparta była na doktrynie Monroe'go, który objął urząd prezydenta w r. 1817. W r. 1917 armie amerykańskie po raz pierwszy interweniowały na kontynencie europejskim.

Główna zasada doktryny Monroe'go, „Ameryka dla Amerykanów" rozszerzona została w praktyce również na ograniczenie amerykańskiej polityki zagranicznej w jej zasięgu terytorialnym. Departament Stanu stał się w tych warunkach jedynie obserwatorem wielkiej polityki międzynarodowej, ograniczając swą aktywną działalność niemal całkowicie do kontynentu amerykańskiego.

Przystąpienie Stanów Zjednoczonych do pierwszej wojny światowej stanowiło poważny wyłom w stuletniej polityce, opartej na doktrynie Monroe'go. Był to zresztą wyłom epizodyczny. Delegacja amerykańska z prezydentem Wilsonem na czele brała jeszcze udział w konferencji pokojowej w Paryżu i pracach nad powołaniem do życia Ligi Narodów, ale Senat amerykański, najwyższy konstytucyjny autorytet w sprawach polityki zagranicznej, odmówił ratyfikacji zarówno Traktatu Wersalskiego, jak i konwenantu Ligi Narodów. Po tym wyroku polityka zagraniczna Stanów Zjednoczonych wycofała się na kontynent amerykański i zwróciła swą uwagę ponownie na rejon Pacyfiku.

Doktryna Monroe'go zatriumfowała ponownie w ciasnych zasadach izolacjonistycznych, a wkrótce wsparta została przez bill Johnstona, zabraniający Stanom Zjednoczonym udzielania państwom europejskim pożyczek na prowadzenie wojen.

I po raz drugi doktryna Monroe'go została obalona w r. 1941 przez czynną interwencję Stanów Zjednoczonych w drugiej wojnie światowej. Wprawdzie prezydent Roosevelt umiejętnie kierowaną polityką zagraniczną przygotowywał zarówno obejście doktryny Monroe'go, jak i billu Johnstona, tworząc ze Stanów Zjednoczonych arsenał walczących demokracyj europejskich i przeprowadzając w Kongresie ustawę o pożyczce i dzierżawie (Lease and Lend Bill), tym nie mniej niespodziewany atak japoński na Pearl Harbour i wypowiedzenie Stanom Zjednoczonym wojny przez Niemcy przyśpieszyły bieg wypadków, wyprowadzając politykę amerykańską ze stanu dobrowolnej izolacji i wprowadzając ją od razu, nieprzygotowaną, na wielkie szlaki polityki międzynarodowej.

Ale tym razem polityka amerykańska nie wróciła już na własny kontynent. Trudno przewidzieć, o ile tym razem zdrada doktryny Monroe'go jest definitywna i czy odwrót nie nastąpi po pewnym dłuższym, lub krótszym okresie. Bo jeśli operujemy już kategoriami doktryn, to miał swoją doktrynę również Franklin Delano Roosevelt, gdy zapowiadał początek stuletniej ery amerykanizmu. Nie jest przeto wykluczone, że po stu latach doktryny Monroe'go, opartej na izolacjoniźmie, nastąpi sto lat polityki aktywnego udziału Stanów Zjednoczonych w polityce międzynarodowej. Ale nie sto lat doktryny Roosevelta. Bo w międzyczasie Stany Zjednoczone zdradziły ideologię Roosevelta, opartą na współpracy narodów. Zatriumfowała natomiast doktryna Trumana.

O ile doktryna Roosevelta oznaczała interwencjonizm amerykański w polityce międzynarodowej, o ile wyznaczała narodowi amerykańskiemu zadanie przewodnictwa narodowego, to doktryna Trumana oznacza nie tylko interwencjonizm, ale i ingerencję, nie tylko ekspansjonizm, ale i imperializm, Trumanowska era amerykanizmu — to era hegemonii, a nie szlachetnego przewództwa narodów.

Dnia 5 czerwca 1947 r. sekretarz stanu, gen. Marshall wygłosił na uniwersytecie w Harvard mowę, w której podał pierwsze kontury swego planu „amerykańskiej pomocy Europie". Mowa zawierała perfidny szczegół. Inicjatywa pomocy, prośba o pomoc miała wyjść od państw europejskich. Pokusa była silna. Gen. Marshall chciał wiedzieć, które państwa europejskie pójdą dobrowolnie za głosem tej pokusy, jak dalece Europa jest zdemoralizowana, by wyciągnąć pohopnie rękę po dolary amerykańskie.

UCIECZKA ZE WSCHODU

„...Cóż z tego okresu pozostało? Ludność niemiecka Wrocławia, podobnie jak i Gdańska, uciekła z prapolskich ziem gnana przerażeniem własnej winy i odpowiedzialności za zbrodnie stuleci przed słowiańszczyzną. Warto podkreślić tu zjawisko, że o ile Polacy nie opuszczali dobrowolnie wsi i miast pod naporem zwycięskich hitlerowców w 1939 r., pazurami trzymali się ziemi i gruzów nawet, kryjąc się po lasach i piwnicach, byle przetrwać na swoim, o tyle Niemcy masowo opuszczali wsie i miasta Pomorza i Śląska, czując, że nie mają do tej ziemi prawa. Z samego Wrocławia zbiegło przed wojskami rosyjsko-polskimi około pół miliona Niemców.

(Dr. Władysław Jan Grabski. 200 miast wraca do Polski).

Ktokolwiek miał możność obserwowania odwrotu Niemców ze wschodu wobec zwycięskiej ofenzywy 1944—5 roku, mógł stwierdzić, że ucieczka miała charakter **żywiołowy.** To nie cofała się tylko pobita armia. I nie towarzyszyły jej grupy uchodźców przymusowo wypędzonych ze swoich siedzib. To była **ucieczka narodu niemieckiego** z cudzych, zagrabionych ongiś i przez lata bezprawnie posiadanych ziem.

Odwróćmy się teraz od tego obrazu, niesionego wspomnieniem ostatniego okresu wojny i przypomnijmy inne fakty.

Było takie wydawnictwo jeszcze przedwojenne Volk und Raum — bogato ilustrowane barwnymi wykresami, wydawnictwo dla hitlerowców. Wykresy i tablice statystyczne wołały do zdobywców „niemieckiego wschodu" groźnym memento: „my, Niemcy — uciekamy ze wschodu". Skrupulatne, z niemiecką dokładnością przeprowadzone obliczenia wskazywały na żywiołowy proces odwrotu Niemców ze wschodu. Na wschodnich, wydartych słowiańszczyźnie terenach Rzeszy, przyrost naturalny był silniejszy, niż na zachodzie, zaś gęstość zaludnienia mniejsza. Znaczy, że istniał i trwał ciągły proces migracyjny na zachód.

Jeżeli porównać wkład sił, kapitałów, energii państwowej z osiąganymi wynikami, to trzeba dojść do wniosku — do tego wniosku dochodziły niekiedy również i publikacje niemieckie — że hasło „drang nach Osten" było hasłem sztucznym, nawskroś politycznym, podyktowanym państwową, imperialistyczną racją stanu, nigdy zaś naturalnym pędem narodu niemieckiego, wykazującego raczej tendencje odwrotne. W miarę upływu lat metody ucisku, germanizacji i eksterminacji stawały się bardziej bezwzględne, technicznie doskonałe. Koroną metody stały się praktyki okresu wojennego z gigantycznymi wysiedleniami całych województw i fabrycznym mordowaniem w komorach gazowych. Zanim jednak doszło do owych szczytowych osiągnięć, stosowane przez długie lata przed tym crescendo metody nieustannego, wzmagającego się ucisku dawały już skutki. Zdołano zetrzeć polskość z całych obszarów. Były to wyniki świeżej daty. Jeszcze w poprzednim pokoleniu język polski panował na obszarach w dniu wybuchu wojny już niemieckich. Jeszcze w tym czasie—w okresie II Wojny Światowej na obszarach jednolicie niemieckich, ludność znała polskie, wykreślone z map oficjalnych nazwy miejscowości.

Germanizację ziem polskich osiągnięto drogą mechaniczną. właśnie tylko polityczną, sztuczną. administracyjną. Skoro pękła państwowa więź organizacyjna. wszystko posypało się w gruzy. Sztucznie zaflancowana niemieckość ziem zagrabionych pierzchła wraz z państwowością. Wysiedlanie Niemców z ziem polskich, to już było tylko wygarnianie resztek, które uciec nie zdążyły.

Zaś proces repolonizacji tych ziem — procesem równie żywiołowym, jak ich germanizacja była sztucznym dziełem przemocy.

M. S.

Mało kto zdawał sobie wówczas sprawę, że plan Marshalla jest rozwinięciem i uzupełnieniem doktryny Trumana, jest zastosowaniem jej politycznych przesłanek w dziedzinie gospodarczej. Plan Marshalla pozwalał właśnie na praktyczne stosowanie zasad doktryny Trumana, czynnej ingerencji w życie państw europejskich i narzucenie Europie hegemonii amerykańskiej, hegemonii dolara i imperializmu. Tym mniej ludzi w Europie zdawało sobie sprawę, że plan Marshalla rzekomej pomocy Europie oznaczał raczej plan pomocy europejskiej dla Stanów Zjednoczonych, duszących się w inflacji dolarowej i w nadprodukcji dóbr rozbudowanego podczas wojny przemysłu amerykańskiego.

Na tym prestigitatorskim chwycie nie poznano się zresztą w stolicach państw zachodnio-europejskich. W Londynie i w Paryżu przyjęto plan Marshalla z entuzjazmem. W Moskwie z niedowierzaniem i uzasadnioną rezerwą. Polityka amerykańska przebyła już od śmierci Roosevelta dostatecznie długą i krętą drogę, by patrzeć na nią z dużą dozą krytycyzmu. Na pierwszej konferencji brytyjsko-francusko-radzieckiej w Paryżu, mimo braku dostatecznych elementów delegacja radziecka z przedziwną przenikliwością odkryła właściwe cele planu Marshalla i przewidziała, że grozi on mniejszym państwom poważnym niebezpieczeństwem ograniczenia ich suwerenności gospodarczej i narzucenia im przewagi mocarstw. Nie powiedziano jednak, że identyczne niebezpieczeństwo groziło również ze strony planu Marshalla mocarstwom europejskim, a nie tylko mniejszym państwom. Nikt nie przewidywał również wówczas, że plan Marshalla oznacza nie tylko ograniczenie suwerenności gospodarczej państw, które zechcą skorzystać z pomocy amerykańskiej w ramach planu, ale i suwerenności politycznej.

W międzyczasie rozpoczęła się w Kongresie dyskusja nad planem, a to zmusiło wreszcie Departament Stanu do ogłoszenia szczegółów planu. Szczegóły te, jawne i poufne usprawiedliwiły w zupełności niedowierzanie tych państw, które nie wyciągnęły ręki po pomoc dolarową, a w stolicach państw zachodnio-europejskich i innych, które wzięły udział w konferencji 16-tu w Paryżu wywołały głębokie rozczarowanie i zawód.

O wiele większe znaczenie mają ogólne tendencje planu Marshalla, stanowiącego rozwinięcie doktryny Trumana. Niezależnie bowiem od ugruntowania hegemonii amerykańskiej i amerykańskiego imperializmu w Europie zachodniej doktryna Trumana i pochodny od niej plan Marshalla stwarzają głęboki podział Europy na dwa obozy, spotęgowany jeszcze przez utworzenie bloku zachodniego. Bez najmniejszego ryzyka w rozumowaniu stwierdzić można, że ojcami chrzestnymi bloku zachodniego, pogłębiającego podział Europy są Truman i Marshall, dwaj przedstawiciele tego samego antyrooseveltowskiego kierunku w polityce amerykańskiej, który odrodzenie sił antydemokratycznych w Europie widzi w odrodzeniu dawnej potęgi Niemiec, reprezentujących w Europie siły zła i zniszczenia. Ponieważ zaś demokratyczne siły Europy muszą się w obronie swej egzystencji oprzeć tej polityce ingerencji i imperializmu, Europa w blisko trzy lata po zakończeniu działań wojennych znajduje się wciąż jeszcze w stanie politycznej płynności i niepokoju i w gospodarczym chaosie, który w sposób tak drastyczny przejawia się właśnie w Europie zachodniej, poddanej pod wpływy amerykańskie.

Doktryna Trumana jest teoretycznym założeniem, a plan Marshalla praktycznym zastosowaniem amerykańskiej polityki imperialistycznej w Europie.

W XIII stuleciu za piastowskich czasów, żył sobie na Śląsku Dolnym szlachcic, co z Henrykiem Brodatym na wyprawy chadzał — imieniem Sol. Synów tego Sola, zgodnie z polskim obyczajem zwano Solicami — i właś nie onym Solicom zawdzięczała swą nazwę powstała w tamtym czasie dolnośląska wieś Solicowo.

Sprowadzeni później przez Brodatego Piasta, koloniści sascy z wrodzonym brakiem polotu, przemianowali Solicowo na Salzbrunn, dopatrując się w nazwie wsi koniecznego związku z solą. Ofiarą tego braku polotu swoich ziomków padł w kilka wieków potym sam „Wielki Fryc" Pruski, który nakładem znacznych kosztów zapragnął w Salzbrunnie sól dobywać — i rzecz prosta wystawił się na fryca, bo jak na złość salzbrunnskie szczawy alkaliczne odznaczają się małą ilością soli.

Nie było w szczawach solickich soli, ale kwitła w nich zato moc uzdrawiająca. Gdzieś od roku 1610, tzn. od momentu, gdy zwrócono uwagę na cudowne własności lecznicze szczawów alkalicznych, Salzbrunn—Solicowo poczyna rosnąć w oczach i stopniowo staje się jednym z najbardziej znanych uzdrowisk europejskich. Do tej „Mekki astmatyków" ściągają kuracjusze ze wszystkich stron. Licznie zaprezentowana była również szlachta wielkopolska, gdyż jak wiadomo nadużywanie miodu i gardłowanie na sejmikach, wcale nie sprzyja prawidłowemu funkcjonowaniu górnych dróg oddechowych. U wód salzbrunnskich leczą się także ze swych „dusznych niepokojów" romantyczne bohaterki powieściowe Lwa Tołstoja. W wyniku drugiej wojny światowej, Salzbrunn wraz z całym powiatem wałbrzyskim powraca do dawnych właścicieli i przybiera znowu swą staropolską nazwę, w nieco tylko zmienionym brzmieniu: Solice — Zdrój.

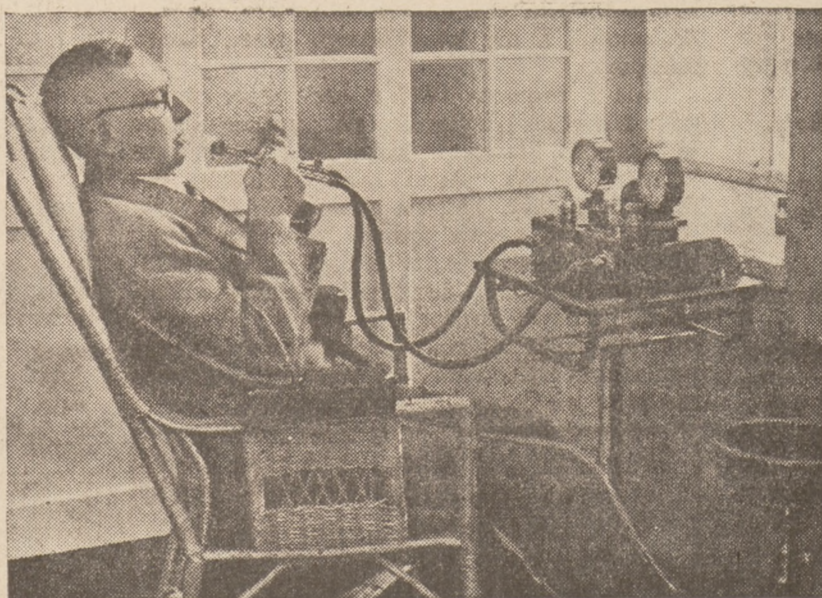
Naturalnie, że cały ten wyczerpujący wywód historyczny zupełnie nie tłumaczy faktu dlaczego na większości map polskich i w oficjalnym spisie urzędów pocztowych, Solice — Zdrój ciągle jeszcze figurują jako Szczawno — Śląskie. Winę ponosi tu widać polski sentyment do Ziem Odzyskanych, który każdej miejscowości w formie ekwiwalentu za długą niewolę niemiecką, przyznaje obecnie prawo do przynajmniej dwóch nazw polskich.

Solice są dzisiaj bezsprzecznie najpiękniejszym uzdrowiskiem polskim. Położone na wysokości 400 m, w niezwykle malowniczej dolinie Gór Wałbrzyskich — całe toną w przepięknym starym parku o powierzchni 160

MARIAN BRANDYS

O NAZWACH, SZCZAWACH I... DEMOKRACJI

ha. Park ten poza sławnymi na całą Europę alejami rododendronów i azalii, kryje w swojej gęstwie liczne place tenisowe i pola golfowe, chwilowo bezużyteczne z braku anglosaskich turystów. Tu również mieści się imponujący Dom Zdrojowy, który w czasie inwazji na Polskę był siedzibą głów nej Kwatery Hitlera i gościł w swych luksusowych apartamentach niemal



Zakład przyrodoleczniczy w Solicach Zdroju. Inhalacja przy użyciu aparatu pneumatycznego.



Dom Zdrojowy w Solicach, skąd we wrześniu 1939 r. kierowano inwazją na Polskę.

cały zespół późniejszych podsądnych norymberskich.

Szczawy solickie, tryskające w dwóch zdrojach o plastowskich nazwach „Mieszko" i „Dąbrówka" leczą: nieżyty górnych dróg oddechowych, astmę, rozedmę płuc, następstwa grypy, nadkwasotę żołądka, schorzenia nerek i dróg moczowych, a także zaburzenia przemiany materii.

Poza uzdrawiającymi źródłami, Solice posiadają najnowocześniejsze urządzenia lecznicze wspaniałe inhalatoria (w tym jedyne w Europie inhalatorium pneumatyczne) kąpiele mineralne, tlenowe i borowinowe, hydroterapię i elektroterapię z nowoczesnym urządzeniem „czterokomorowym". To urządzenie czterokomorowe przeznaczone do usuwania nadwrażliwości nerwowej, stanowi — jak mnie poinformował ktoś z wtajemniczonych — ostatni wynalazek lekarzy niemieckich, którzy słusznie przewidywali, że wojna wielu ludziom w Niemczech osłabi nerwy. Historia bywa złośliwa. Wynalazek przeznaczony do leczenia nerwów niemieckich, leczy dziś nerwy polskie, które właśnie Niemcy porządnie nadszarpnęli.

Pisząc o Solicach nie można także nie wspomnieć, że jest to uzdrowisko najbardziej... demokratyczne. W przeciwieństwie do Kudowy, która nadal zachowała charakter modnego „kurortu" — kuracjusze soliccy rekrutują się w 80 proc. z klasy robotniczej (a należy pamiętać, że frekwencja przekroczyła już cyfry przedwojenne). Robotnicy hut i górnicy, przysyłani przeważnie bezpłatnie przez Ubezpieczalnie Społeczne, korzystają tu z najnowszych zdobyczy medycyny i najtroskliwszej opieki.

W restauracji zdrojowej byłem raz świadkiem rozkosznego incydentu. W czasie ogólnego obiadu, zawitał tu, bawiący przejazdem wysoki dygnitarz państwowy. Otaczająca go jak zwykle świta podskakiewiczów, zażądała kategorycznie od jednej z kelnerek, aby dygnitarz został obsłużony przed kuracjuszami, „bo kuracjusze mogą poczekać". Ale rezolutna dziewczyna okazała się nieugięta. Kuracjusze czekać nie mogą. Poczekać może dygnitarz. I dygnitarz musiał poczekać. Nie wiem, jakie skutki miał ten incydent dla rezolutnej kelnerki. Podskakiewicze zwykli niestety załatwiać takie sprawy między sobą ze szkodą dla kelnerek i ze szkodą dla... demokracji. Jeżeli jednak relacja o zajściu dotarła do zainteresowanego dygnitarza — to wierzę, że ten ostatni jej pozytywną wymowę oceni należycie.

Marian Brandys.

POPRAWKA HISTORYCZNA

Nie zamierzałem pisać o zmianie nazw niektórych ulic warszawskich, zmianie, która wywołała słuszne oburzenie opinii publicznej. Nie jesteśmy bowiem barbarzyńcami, lekkomyślnie odrzucającymi przeszłość, więc i sama sprawa wydaje się dostatecznie jasna. Warto natomiast zastanowić się nad tym komu może zależeć na wytwarzaniu stanu ciągłej niepewności w rozmaitych dziedzinach życia kulturalnego. Oto niedawno doniesiono, że już po raz czwarty w ciągu trzech lat zmienia się nazwę jednego z miasteczek śląskich. Burmistrzowi podoba się jedna nazwa, staroście — druga, powiatowej radzie narodowej — trzecia, ludności — jeszcze inna. Czy te ustawiczne zmiany świadczą o posunięciach przemyślanych, czy pomagają do utwierdzenia autorytetu państwa na ziemiach odzyskanych?

Grasuje w Polsce osobliwy typ „Kubusia — rozpruwacza przeszłości kulturalnej", któremu się wydaje, że każdy wymyślony przez niego nonsens jest postępem. O tych nadgorliwcach pisał świeżo Jerzy Borejsza w „Odrodzeniu", że w „swoim wielkim nieuctwie, prostocie ducha i nadgorliwości chcą być na gwałt kulturoburcami tradycji i przeszłości".

Ale postawieni do kąta przez wielu rozumnych ludzi — nadgorliwcy ci nie stoją w nim bynajmniej spokojnie. Spędzają swój dzień pracowicie — ten rodzaj inicjatywy prywatnej bowiem nie próżnuje. Oto doniesiono świeżo, że Polskie Wydawnictwo Muzyczne zorganizowało konkurs na harmonizację... Hymnu Narodowego. Cóż to znaczy— spyta laik. Wyjaśnimy, że harmonizacja melodii „Jeszcze Polska nie zginęła" odpowiadałaby mniej więcej, mówiąc alegorycznie, zmianie rymów w poezji Mickiewicza. A może i taki konkurs rozpiszemy? Konkurs na całkowitą zmianę rymów w „Panu Tadeuszu" — przez co zmodernizujemy to trochę przestarzałe dzieło.

„Otóż — pisze jeden z poważnych krytyków muzycznych — pozwolimy sobie postawić pytanie: czy taka rzecz możliwa byłaby w innym kraju? Czy można sobie wyobrazić, by we Francji na przykład zmieniono harmonizację „Marsylianki?" Inicjatywę takiego pomysłu potraktowano by tak zapewne, że przez delikatność nie można mówić o tym nie będziemy".

Kuba-rozpruwacz przeszłości kulturalnej jest nie tylko uparty w przeprowadzaniu swych pomysłów, ale i bardzo siebie pewny. Poczuł w sobie bożą wolę do rozdawania cenzurek. Toczy się właśnie dyskusja na temat: gdzie ma stanąć pomnik Chopina i ks. Poniatowskiego. Zabrał w niej głos p. M. J. Górszczyk, w którego artykule („Gazeta Ludowa Nr 90) znalazła się taka osobliwa opinia:

„A pomnik Poniatowskiego? W każdym bądź razie nie na Placu Zwycięstwa. Powiedzmy sobie szczerze, że w historii naszej mieliśmy stokroć wspanialsze postacie od „Księcia Pepi". Był okres ułanki, wyłogi, lampasy i akselbanty, a cóż dopiero czako, czy bokobrody ułańskie wywoływały za zachwyty. Nie zamierzam bynajmniej pomniejszać zasługi Józefa Poniatowskiego, jednak nie wolno zapomnieć, że z piękniejszym, żywszym okrzykiem ginęli bohaterowie wolności na szubienicach i w legendzie polskiej nie mają miejsca".

Jedyną prawdą w tym wywodzie, jest to, że ks. Józef Poniatowski był postacią historyczną. Podobnie jak Cezar, Kleopatra, Karol Wielki, Szekspir i sam p. Górszczyk. Bo już wszystko inne budzi poważne wątpliwości, a właśnie na zasadzie wszystkiego innego usiłuje się pomniejszyć czołową postać historyczną.

Czy Poniatowski był nią na prawdę? Wielki jego przeciwnik polityczny, wyznawca innej zgoła orientacji, ks. Adam Czartoryski zapisuje w najżywszym poruszeniu: Śmierć księcia Józefa... co za żal... Kraj polski krepą okryty... Spać nie można... widzi (się) zawsze księcia na placu, we krwi, w mundurze jego... Smutek okropny... Przykład śmierci najpiękniejszy do naśladowania, niech wiecznie w pamięci żyje..."

W sto lat później pójdzie śladem tej opinii jeden z największych historyków polskich — Szymon Askenazy, pisząc o nim:

„Naprzód był poświęcił pierwszą miłość i szczęście osobiste. Potem poświęcił karierę i wygody rodzinne... poświęcał dumę i przekonania polityczne. Ukorzył się przed wolą narodu, przybiegł dzielić jego losy... Cnota orężna była w nim jedynie naczyniem wyższej obywatelskiej. Tej to on najgłówniej uczył się aż do zgonu, i przez nią, wychowując w niej siebie, został jednym z wychowawców narodu... Dla ojczyzny... uczynił wszystko, oddał wszystko... Póki Polska Polską imię jego żyć będzie".

A. p. Górszczyk nasłuchał się czegoś o lampasach. Słyszał, że dzwonią, ale nie wie z jakiego kościoła. Bardzo ładne są wiersze Or-Ota, ale źle jest jeżeli p. Górszczyk czerpał z nich swą wiedzę historyczną. Skąd bowiem wie, że bohaterowie wolności ginęli „z piękniejszym, żywszym okrzykiem?" Okrzyk z jakim ginął ks. Józef znany jest jedynie autorom powieści dla młodzieży, a nie historii. Bowiem po trzeciej otrzymanej pod Lipskiem ranie był już tylko nawpół przytomny i mówił o mężnej śmierci. Gdy po raz czwarty odebrał kulę w bok — majaczył w gorączce i szeptał coś bez związku o Polsce i o honorze. Piąta kula przeszyła go na wylot i nikt nie słyszał jego słów ostatnich. Okrzyk rzucony na brzegu rzeki o owym powiernictwie honoru Polaków należy tedy do bajek, jakie znaleźć można w powiastkach dla dzieci i w dyskusji nad sprawą pomnika w Warszawie. A opinie pp. Górszczyków może jednak zrównoważy sąd Napoleona. „Poniatowski był prawdziwym królem — łączył wszystkie po temu tytuły i wszystkie talenty..."

Więc może w historii naszej nie mieliśmy postaci od ks. Józefa aż „stokroć wspanialszych?" Może tylko „dziesięciokrotnie?" Zróbmy tę arytmetyczną poprawkę historyczną.

DON KICHOT

Quas

POTWIERDZONA DIAGNOZA

Lotem ptaka rozeszła się po mieście wiadomość o mojej chorobie.

Kiedy wszedłem do kawiarni, przyjaciele powitali mnie z szacunkiem.

Nie mam w sobie za grosz pychy, ale muszę przyznać, że czułem się wśród nich jak ktoś z lepszej sfery.

Postanowiłem jednak o ile możności nie okazywać tego.

Z dawną skromnością przysiadłem na krzesełku i starając się nadać swemu głosowi naturalne brzmienie powiedziałem jakgdyby nigdy nic:

— Uff... Ale gorąco.

— Acha... Czy aby deszczu nie będzie, — podchwycił Kazio ze sztuczną swobodą.

— Eee... Chyba nie, — rzekł Antoś, — chociaż jest trochę parno...

— I chmurzy się z tamtej strony, — dorzucił z udanym przejęciem Felek.

— Ale wiaterek jest, to rozpędzi chmury, — rozproszył obawy Romcio.

— Może, — zgodził się Teofil spoglądając bacznie w okno.

Zapanowało kłopotliwe milczenie.

— Nie wiem czego się możesz napić — przerwał je Kazio pochylając się ku mnie z subtelnym zażenowaniem.

Poczułem na sobie pięć par oczu. Przyjaciele z niepokojem śledzili moją reakcję na wyraźną aluzję Kazia.

Uśmiechnąłem się pobłażliwie.

— Ja mogę tylko mleczko — rzekłem z cichą rezygnacją.

Współczucie malujące się na twarzach otoczenia było dla mnie prawdziwą pociechą. Widziałem też, że pogoda z jaką znoszę swój los imponuje im.

Rozległo się kilka głębokich westchnień, wreszcie Antoś wybuchnął:

— Wszystko dobrze! Ale co ci jest u diabła?! Bo mówią, że tabes!

Pokiwałem melancholijnie głową.

— Żeby to, moi drodzy. Ba! Piasek!

— Piasek?! — przeraził się Romcio.

— No piasek! Czego wrzeszczysz? — skarcił go Felek. — A robiłeś analize? — zwrócił się do mnie.

Bez słowa sięgnąłem do kieszeni i podałem mu protokuły z wynikami badań fizykalnych, chemicznych, mikroskopowych oraz morfologicznych.

Wszystkie głowy pochyliły się nad nimi.

— Bój się Boga! Urobiliny wcale nie masz! — zmartwił się Kazio.

Rozłożyłem bezradnie ręce.

— A ile indykanu! — zdumiał się Antoś. — I ani śladu białka! — Romcio ze zgrozą patrzył na moje zbolałe oblicze.

— A co to?? Odczyn dwuazowy ujemny! — przestraszył się Teofil.

— Tak, tak... — szeptałem z goryczą.

— I cukru nie wykryto! — zawołał z głęboką troską Felek.

Spuściłem oczy ze wstydem.

— A tu patrzcie! — denerwował się Kazio. — Ani jednego myelocyta!

Felek złożył dokumenty i podał mi je wzruszony.

— Daj Boże, żebyś z tego wyszedł — rzekł przygnębionym głosem. — Czy aby cię leczą...

— Czasem nie poznają się na chorobie — dodał Romcio. — Dopiero po sekcji się połapią.

Zadrżałem.

— Ty lepiej idź zaraz do doktora i niech cię jeszcze raz zbada — doradził Antoś. — Zanim będzie zapóźno.

Opuszczałem kawiarnię przybity.



Z dawną skromnością przysiadłem się na krzesełku...

A zaraz po obiedzie poszedłem do doktora.

— Panie doktorze — mówię. — Czy to aby na pewno nerki?

— Przecież badałem już pana — powiada.

— Ale możeby sprawdzić, — mówię. — Bo dziś jakoś gorzej się czuję.

— Rozbieraj się pan — rzekł doktór.

Potem mnie ostukał, obmacał i nagle trącił w nerkę.

— Boli? — pyta.

— Nie — mówię.

— A teraz? — i stuknął mocniej.

— Nie — powiadam.

— A teraz? — i pięścią huknął.

Zatoczyłem się kawałek, ale zagryzłem tylko usta.

— Nie boli — mówię już trochę zły.

Doktór w drugą nerkę mnie grzmotnął i patrzy zaintrygowany.

Zatoczyłem się w drugą stronę, ale nerka nie bolała.

A doktora widzę zaczyna już gniewać.

— Nie boli? — powiada. — No teraz?

I jak nie wyrżnie z całej siły, aż przysiadłem z jękiem.

Spojrzałem na doktora poważnie i mówię:

Tym razem nie kwestionuję. I wierzę, że nerki muszę leczyć. Przynajmniej tę jedną co mi pan doktór odbił.

— No widzi pan — roześmiał się doktór. — Nie trzeba być upartym. Odrazu mógł się pan przyznać, że boli.

Nie zrozumieliśmy się może.

Ale zaczynam rozumieć upodobania doktorów.

Teraz ryczę, ledwie mnie doktór dotknie. Dlaczego sobie doktora nie zjednać?

A kolegów więcej nie słucham.

NOWE KSIĄZKI

Frank Bruno — Cervantes. Powieść, str. 276. Spółdzielnia Wydawnicza „Wiedza".

Kipling Rudyard — Puk z Pukowej górki, str. 261. Spółdzielnia Wydawnicza „Wiedza".

Dąbrowska Maria — Noce i Dnie. Powieść. 3 tomy, str. 279+278+361. Spółdzielnia Wydawnicza „Czytelnik".

Żeromski Stefan — Syzyfowe Prace. Powieść, str. 247. Spółdzielnia Wydawnicza „Czytelnik".

Żeromski Stefan — Ludzie Bezdomni. Powieść, str. 371. Spółdzielnia Wydawnicza „Czytelnik".

Kraszewski J. I. — Brühl. Powieść historyczna, str. 291. Spółdzielnia Wydawnicza „Czytelnik".

Rudnicki Adolf — Żołnierze. Powieść, str. 162. Spółdzielnia Wydawnicza „Czytelnik".

Kossak Zofia — Złota wolność. Powieść. 2 tomy. str. 251 + 255. Spółdzielnia Wydawnicza „Czytelnik".

Karczewska Wanda — Ludzie spod żagli. Powieść, str. 196. Wydawnictwo Zachodnie.

Balzac — Kuzynka Bietka. Powieść w 2 tomach w przekładzie Boya - Żeleńskiego. str. 230 + 227, Spółdzielnia Wydawnicza „Wiedza".

Z ZIEM ODZYSKANYCH



Kuter robi toaletę wiosenną.



Nad polskim morzem.



Magistrat w Darłowie. fot. Zubrzycki

Marko Larsen

ATAKUJEMY PRZY POMOCY RADARU

(DOKOŃCZENIE)

Ponownie zrzuciliśmy „marine-markery", ale te zapalały się dopiero po upływie dwóch godzin. Prosiliśmy Boga, żeby nasz strzelec miał rację. Wysłaliśmy odpowiedni meldunek i z niepokojem czekaliśmy, co orzeknie śpieszące w tej chwili do nas „konsylium". Nie mając nic innego do roboty, krążyliśmy w pobliżu miejsca ataku, żywo dyskutując na temat przeżyć.

Zaatakowanie łodzi podwodnej to jeszcze nie wszystko; cyrk wraz z całą rytualną wprost procedurą, rozpoczyna się dopiero po nawet najbardziej udanym ataku, gdy załoga jest chociażby w 110 proc. pewna, że łódź została zatopiona. Chodzi tu o uznanie przez kompetentne czynniki, że łódź jest już rzeczywiście zniszczona i można ją skreślić z listy niemieckiej marynarki wojennej, a zaliczyć na konto danego samolotu i załogi. Tu właśnie kończy się wojna, a zaczyna biurokracja.

Historia uznania łodzi za zniszczoną jest nieco skomplikowana, mianowicie: gdy baza otrzymała meldunek od jednego ze swych samolotów, że ten odkrył i zaatakował nieprzyjacielską łódź podwodną, wtedy natychmiast zawiadamia Dowództwo Obrony Wybrzeża, które z kolei zawiadamia kompetentny w tej sprawie dział marynarki wojennej. Następuje błyskawiczna wspólna decyzja i równie szybkie zlecenia. Już w kilka minut po otrzymaniu meldunku o ataku z jednego z wielu lotnisk startuje na miejsce wypadku samolot typu „Liberator" lub latająca łódź „Sunderland", wyposażone w specjalną aparaturę radaru „Azdek", czyli telewizyjno-słuchową. Prócz tego jednostki Mar. Woj., znajdujące się w pobliżu miejsca prawdopodobnego zatopienia otrzymują od swego dowództwa zlecenie, by śpieszyć z ewentualną pomocą.

Samolot po dotarciu na miejsce ataku, zaznaczone światłami rzuconych przez atakujący samolot „marine-markerów", zrzuca cztery boje z automatycznymi nadajnikami i specjalnym zakotwiczeniem. Rozmieszcza je w ten sposób, że tworzą one rogi olbrzymiego, bo liczącego 5 mil kw. prostokąta, obejmującego miejsce oznaczone przez „marine-markery".

Środek owego prostokąta tworzy piąta boja-nadajnik-odbiornik. Odbiera ona fale wysyłane przez zanurzone pod poziomem morza boje-nadajniki i wysyła je do odbiornika znajdującego się na pokładzie samolotu. Fale z boi-nadajników krzyżują się, przebiegając w różnych kierunkach i po zetknięciu się z łodzią podwodną odbijają się, łapane przez boję odbiornik a z kolei i przez samolot. Odbicie na ekranie umożliwia wzrokowe określenie jej położenia względem boi-nadajników.

Określenia pozycji zanurzonej łodzi to pierwsza część zadania. Teraz dopiero następuje najważniejsza czynność — stwierdzenie, czy łódź jest rzeczywiście zniszczona.

Teraz dopiero można się przekonać o genialności wynalazku radaru — „Azdek", którego niezwykle czuła aparatura pozwala usłyszeć pracę motoru, stuki przy naprawie, a nawet dźwięk upuszczonego narzędzia, pomimo faktu, że łódź może leżeć nawet dziesiątki sążni pod powierzchnią oceanu.

Czasami woina na oceanie przeciwko łodziom podwodnym spada do roli długich, wymagających cierpliwości laboratoryjnych eksperymentów. W ciemności lub pod wodą wyszukuje się nieprzyjaciela przy pomocy fal, promieni, precyzyjnych obliczeń itp. Z natężeniem śledzi się ekrany, wsłuchuje się w aparaty tysiąckroć czulsze od ucha ludzkiego, przesuwa niezliczone przełączniki.

Nieprzyjaciel też nie próżnuje. Niemiecka łódź podwodna to nielada przeciwnik. To chytre, groźne bestie, uzbrojone w cierpliwość i duże doświadczenie. Znają się na rzeczy i dysponują olbrzymią ilością diabelskich wprost tricków. Na nasz radar znaleźli odpowiedź w postaci gumowej powłoki na łodziach, obsorbującej wysyłane fale, lub t. zw. „Pillenwerfer" — podwodnej wyrzutni specjalnych chemicznych pigułek, wydających dźwięk, załamujący i zaburzający wysyłane przez nas fale.

Dobrze też wiedzą, że woda kotłowana śrubą do pewnego stopnia osłabia i zniekształca wysyłane fale, które również są bardzo wrażliwe nawet na niewielkie zmiany temperatury.

Jest to walka nerwów, która może nieraz trwać bardzo długo. Łódź, o ile nie odniesie ciężkiego uszkodzenia lub nie zostanie z miejsca zatopiona, ma nawet pokaźne szanse umknięcia.

Z cyklu: „Moja załoga"

Nawiązałem łączność na klucz z lecącym do nas „Sunderlandem". Byli mocno zainteresowani przebiegiem naszej akcji. Prawdziwa „gadka" zaczęła się w chwili, gdy znaleźli się w odległości pozwalającej nawiązać łączność foniczną. Nie było końca docinkom spowodowanym naturalnie zazdrością. Faktem ataku na łódź podwodną nasz samolot „Whimpy", popularnie też nieraz zwany „Krową", został podniesiony do pełnienia zaszczytnej funkcji kierującego całą akcją.

„Sunderland" nie próżnował i natychmiast zabrał się do roboty. Z niecierpliwością oczekiwaliśmy wyniku. Na dole pod nami kręciły się dwa okręty Mar. Woj., gotowe w razie potrzeby do natychmiastowego bombardowania bombami głębinowymi. Szczerze pragnęliśmy, żeby to okazało się zbyteczne i żeby wynosiły się tam skąd przylazły.

Zabrzęczały słuchawki — to „Sunderland". Z bijącym sercem słuchałem; spośród wartkiego potoku słów złapałem tylko kilka, ale za to pozostały w mej pamięci na zawsze.

„...no, udało się wam tym razem... murowany trup!"

Uprzednio już przełączyłem kontakty tak, żeby wszyscy mogli słuchać rozmowy z „Sunderlandem" i teraz zostałem ogłuszony radosnym rykiem załogi.

Dziwiłem się, że nie powariowaliśmy z radości, bo trzeba wiedzieć, że znalazł się u nas w dywizjonie taki mędrzec, który skrupulatnie obliczył, że na każdą zatopioną łódź wypadało około 360 lotów. Panowie, proszę zrozumieć, co to znaczy 360 lotów!...

Na tle jaśniejącego na wschodzie nieba „Hanka", unosząc zmęczoną załogę, powracała do bazy...

Marko Larsen

W sprawie „oczekiwania" BROSZKIEWICZA

Pisząc recenzję z pięknej powieści Jerzego Broszkiewicza „Oczekiwanie" („Tydzień", Nr 11) mimowoli popełniłem omyłkę — którą chciałbym tutaj sprostować. Autor nie napisał swej książki na podstawie pamiętnika przyjaciela, Stefana. Taki pamiętnik taki nie istniał i, w warunkach życia Stefana, istnieć nie mógł. Broszkiewicz słyszał jedynie ustną relację Stefana — i to dotyczącą wyłącznie jednego epizodu z jego wojennych przygód. Reszta jest dziełem wyobraźni pisarza, oraz jego intuicji artystycznej. Złożył w ten sposób Broszkiewicz gorący hołd pamięci poległego przyjaciela, który był podobno jednym z najjaśniejszych talentów lirycznych młodego pokolenia.

W.

CUDO ZIEMI MAZURSKIEJ

Czytelniku! Gdy los Cię zaprowadzi do pięknej Ziemi Warmijsko-Mazurskiej i gdy zapragniesz poznać dziwa i tajemnice tej Ziemi — nie szukaj rozwiązania w samotnej wędrówce po uroczych jeziorach, borach i starych cmentarzyskach. Nie szukaj sam, bo w tej wędrówce żywe dość jeszcze głosy tej ziemi, twarde, takie typowo „mazurskie" i błędne ogniki w puszczy mogą cię sprowadzić na błędne drogi poznania tajemnicy krainy Smętka.

Chcesz poznać prawdę żywą, nagą, czasami nawet smutną — rozpocznij swą wędrówkę od Rudzisk k/Pasymia. W tym zaczarowanym zakątku (30 km od Olsztyna) znajdziesz jasny, stylowy dom, wyraźnie odcinający się od ciemnej ściany lasu i błękitnej toni jeziora. Z daleka już przeczytasz:

„Mazurski Uniwersytet Ludowy"

Zadumasz się wędrowcze nad tymi słowami. Pamiętaj, że to pierwszy w historii tej ziemi uniwersytet ludowy. Zadumasz się jeszcze więcej przy czytaniu dalszych napisów i w tej zadumie — usłyszysz nagle ciepły, swobodny głos „No toć chodźcie bliżej witamy!" To dyrektor Małłek Karol — syn i działacz Ziemi Mazurskiej, najwspanialszy człowiek z grupy działaczy społecznych, jakich dotychczas poznałem.

Wprowadzi ciebie do wnętrza tego przybytku. Uśmiech pojawi się na twojej twarzy, gdy usłyszysz nagle melodię o mieszanych motywach melancholinych i zadzierzystych — to zespół młodzieży mazurskiej, tzw. „autochtonów" powita cię hymnem mazurskim:

„Ojczyzna to nasza, te wody i las,
Niech żyją Mazury — ten kraj pełen kras"

Jeśli wędrowcze masz serce ludzkie — to wzruszysz się i tą melodią i słowami i tym uniesieniem— z jakim młodzież śpiewa ten hymn. Pomyśl, że kilka lat temu ta jasnowłosa Helga — oczyma niewinnego dziecka patrzyła w portret „Führera" i powtarzała krótki slogan „Ein Führer, ein Volk".

Powtarzała te słowa w szkółce wiejskiej, na obozowiskach „Hitlerjugend". Te słowa zastąpić miały pacierz poranny i wieczorny ojców i proste, lecz jakże silne w swej prostocie słowa starego lirnika mazurskiego — poety ludowego Kajki:

„O ojczysta nasza mowo, coś kwitnęła nam
przed laty,
O zakwitnij znów na nowo, jako kwitna w lesie
kwiaty".

Te właśnie słowa Kajki powitają cię przed przekroczeniem progu uniwersytetu.

Pomyśl przez chwilę: z jednej strony liryczne słowa Kajki, tchnące miłością i pragnieniem — „o zakwitnij znów na nowo" i z drugiej strony twardo wymawiane słowa jasnowłosej Helgi „Ojczyzna to nasza — te wody i lasy" — zamiast dawnych „ein Führer, ein Volk"...

Helga, jej koleżanki i koledzy to dzieci Skowronów, Błażejewskich, Lewandowskich, Olszewskich i Grendów (tych ostatnich znamy z wędrówki „Na tropach Smętka...").

Helga ma ładne oczy, lecz twarzyczka jest smutna. Jest sierotą, bo ojciec zginął na wojnie, a matka umarła z głodu i choroby w roku 1945. Matka Helgi umierając wręczyła legitymację Związku Polaków, wydaną ojcu Helgi. Składki członkowskie opłacone do końca 1939 r.

Dziś Helga znajduje się w Rudziskach. Ma czarną sukienkę z darów UNRRA, ma łóżko i białą pościel i nie umiera z głodu.

Rano zasiada ze wszystkimi do stołu. A na stole przystrojonym widłakami i zielonymi gałązkami przy miejscu Helgi stoi mały koszyczek z kwiatami. Helga obchodzi dziś dzień urodzin. Dyrektor Małłek jak ojciec całuje Helgę w czoło, wszyscy śpiewają „sto lat". Helga uśmiecha się przez łzy... Pochyla się nad filiżanką czarnej kawy — (dziś lepiej osłodzonej) i nad kawałkiem chleba z marmeladą i myśli... O czym myśli Helga?...

Ojciec, matka blada, umierająca na „barłogu", bo bieliznę zrabowali „bracia spod Kolna, czy Łomży". Lecz długo to nie trwa. Uśmiecha się już, idąc w gronie koleżanek do sali szkolnej. Dziś wykład o ludowej kulturze mazurskiej, o zwyczajach i obyczajach. Opowiada o tym dyr. Małłek. W słowach prostych odtwarza duszę i życie ojców i dziadów Helgi. Czasem trzeba coś bliżej wyjaśnić przy tłumaczeniu przysłów mazurskich „Kukawiecko, moja miła panienecko..." i wtedy trzeba sięgnąć i do tej „innej mowy", zwłaszcza, że Krystyna — koleżanka Helgi słabo mówi po polsku...

Ernest natomiast ładnie mówi po mazursku i z takim przejęciem deklamuje wierszyk z okolicy Mrągowa pt. „Życie gospodarza". Helga ma duże zdolności artystyczne: ładnie maluje i śpiewa a przy tym dobrze gra na scenie. To też najlepiej lubi zajęcia świetlicowe, na których inscenizuje pieśni i wiersze i z zazdrością spogląda na Marię — pięknie czytającą opowiadania z historii Polski.

Maria to wychowanka tego samego uniwersytetu w Radziszkach. Ma wykształcenie pedagogiczne i dziś razem z Małłkiem opiekuje się Helgą i koleżankami.

Obiad w dniu urodzin Helgi jest wyjątkowo uroczysty. Prócz zupy mlecznej jest jeszcze ryba. W kasie było trochę pieniędzy, więc dziś pozwolono sobie na luksus. Dania mięsne są rzadkością — brak środków finansowych.

Całe szczęście, że jest gospodarstwo i na nim kilka krów, więc jest mleko. Ale jak wpłacić raty tytułem spłaty za gospodarstwo w wysokości 60.000 zł. Dyr. Małłek już od kilku miesięcy swoją gażę włożył do kasy uniwersytetu. Skąd weźmie dalej...

I tak płynie życie w Rudziskach. Wszystko zorganizowane na zasadach samorządu. Wszystko wykonują sami słuchacze: uprawiają ziemię, pielęgnują ogrody, gotują pożywienie, pieką chleb, rąbią drzewo, zamiatają — a co najważniejsze uczą się myśleć i czuć po polsku.

Poznają nową Polskę i nowego Polaka. — Starają się przy tym zrozumieć i tych „spod Kolna", co to z okrzykiem „wy szwaby" bili matkę Helgi i zabierali pościel. Starają się rozumieć, bo ich „ojciec" dyr. Małłek mówi o tych cierpieniach, jakich zaznali owi ludzie „spod Kolna i Łomży" od Niemców z „Ostpreusen".

Helga chce pracować w spółdzielni. Należy do Koła Spółdzielczego, z uwagą słucha wykładów o spółdzielczości i pilnie przerabia ćwiczenia buchalteryjne.

Już kilka pokoleń wypuścił Uniwersytet Mazurski. Już dyr. Małłek dostał sporo listów z podziękowaniami od różnych władz za dobrze wychowanych pracowników. Bo wychowankowie Uniwersytetu pracują dziś w urzędach pocztowych, gminnych i miejskich, zajmują nawet kierownicze stanowiska jak Walter Błażejewski, pracują w szkołach, spółdzielniach — tkwiąc silnie w swej rodzimej i pięknej Ziemi Mazurskiej i dołączają swe siły do walki ze złym duchem przeszłości ponurym Smętkiem.

Film TYGODNIA



W Warszawie odbyło się wspólne posiedzenie KC PPR i CKW PPS w sprawie jedności organicznej obu partii.



Do Warszawy przybyła delegacja czechosłowacka z min. Opieki Społ. Erbanem na czele, powitana na lotnisku w imieniu Rządu Polskiego przez min. Rusinka. Na zdjęciu: drugi od lewej min. Erban, trzeci od lewej min. Rusinek.



Pod hasłem „W pracy i w walce" odbył się w stolicy pierwszy Zjazd Związku Zawodowego Pracowników Przemysłu Poligraficznego istniejącego od 50 lat.



Na Okęciu odbyła się uroczystość dekoracji odznaczeniami bojowymi pracowników P. L. L. „LOT" za zasługi w okresie wojennym.
(SAP)

100 WIERSZY O SPORCIE

POCZĄTEK sezonu piłkarskiego przyniósł nam miłą niespodziankę, jaką był wynik remisowy naszej reprezentacyjnej jedenastki w Sofii. Na podstawie tego wyniku trudno, oczywiście, mówić dziś o wartości naszego piłkarstwa, nie mniej jednak niewątpliwym plusem wyprawy do Bułgarii była ambitna i ofiarna gra naszych zawodników, co nie zawsze szło w parze z umiejętnościami technicznymi czy taktycznymi. W sumie, biorąc pod uwagę wczesny termin zawodów i obcy teren, wynik sofijski nastraja optymistycznie co do przyszłości naszego piłkarstwa, którego szeregi doznały poważnych szczerb po zawierusze wojennej.

POTRÓJNE zwycięstwo naszych szermierzy i szermierek w spotkaniu z Czechosłowacją nie wywołało w opinii sportowej takiego echa, na jakie w pełni zasłużyło. Szermierka nie należy do sportów atrakcyjnych w tej mierze, co piłka nożna lub pięściarstwo i nasi szermierze nie mają za sobą tak hucznej reklamy, jaka jest przywilejem piłkarzy lub bokserów, ale w przeciwieństwie do obu wymienionych dziedzin sportu właśnie szermierze wybijają się na czoło kandydatów na wyjazd do Londynu, gdzie na igrzyskach olimpijskich możemy spodziewać się od nich większego powodzenia, niż od jakiejkolwiek innej gałęzi sportu.

WARTA zapowiada dyskwalifikację na 2 lata swego pięściarza, Sobczaka. Powodem surowego wymiaru kary ma być pijaństwo tego zawodnika. Trudno uwierzyć, aby Sobczak był jedynym w tym klubie, który odrodził się od swych kolegów, hołdując wyrobom P.M.S. Bokser ten ma jednak przeciwko sobie wiek. Ex-reprezentacyjny zawodnik Polski jest już u kresu kariery pięściarza, cóż więc prostszego, jak przybrać się klubowi w togę moralizatora i pozbyć się „pijaka". Klub już nie będzie miał wiele pociechy z tego boksera, a zyska przez to opinię dbającego o moralność swych członków. Niedawno byliśmy świadkami dyskwalifikacji piłkarza warszawskiego za niesubordynację, którą była poprostu chęć przejścia tego zawodnika do innego klubu. Część prasy mocno chwaliła ów klub za dbałość o dyscyplinę wśród swych członków. Po kilku tygodniach... odwieszono piłkarza, który okazał się niezbędny w drużynie.

PODCZAS meczu piłkarskiego w Tomaszowie wynikły awantury w wyniku których odwieziono 2 osoby do szpitala w ciężkim stanie. Incydent ten nie miał większego echa w prasie. Można byłoby wysnuć z tego wniosek, że karetka pogotowia jest na naszych boiskach nieodłącznym rekwizytem i nie należy dziwić się, że jest ona „łącznikiem" między murawą boiska i łóżkiem szpitalnym.

NA WYŚCIGU kolarskim o mistrzostwo Polski zdarzyło się, że czołówka pojechała mylną trasą, a w ślad za nią i reszta zawodników. W czołówce jechał m. in. Kapiak, który na mecie znalazł się na piątym miejscu. Założył on protest z powodu zmylenia trasy. Narzucają się dwa pytania: czy kolarz ten zająłby lepsze miejsce w wypadku, gdyby czołówka pojechała właściwą trasą oraz czy protestowałby, gdyby mimo zmylenia trasy zajął w tym wyścigu pierwsze miejsce?

PISAŁEM niedawno na tym miejscu o wesołym powrocie piłkarzy Polonii bytomskiej po przegranym meczu w Warszawie. Piłkarze bytomscy wszyscy dobrze „pod muchą" awanturowali się w jednej z redakcji, za pośrednictwem swego samozwańczego prezesa o samochód, który miał ich odwieźć na dworzec a w rezultacie podwiózł do jednej z knajp warszawskich. Przed kilku dniami w owej redakcji zjawił się prezes Polonii, który przeprosił redakcję za niewłaściwe zachowanie się piłkarzy i ich kierownika, który podając się wówczas za prezesa awanturował się. Z całą przyjemnością notujemy wizytę autentycznego prezesa Polonii bytomskiej, stwierdzając dobre obyczaje wśród władz klubu.

Z. W.

Premie dla Stałych Czytelników »Tygodnia«

Pomiędzy stałych prenumeratorów naszego pisma, nie zalegających w opłacie rozlosowanych zostanie co miesiąc

50 książek

Pierwsze losowanie w pierwszych dniach maja b. r.

Administracja »Tygodnia«

Kalendarzyk historyczny

10 Kwiecień

1525 Hołd Pruski
1829 ur. się William Booth twórca „Armii Zbawienia"
1831 bitwa pod Iganiami
1864 ur. się kompozytor Eugeniusz d'Albert
1930 wynalezienie ikonofonu (aparat do widzenia na odległość)

11 Kwiecień

1818 Przywiezienie zwłok Kościuszki na Wawel
1825 ur. się Ferdynand Lassale
1852 ur. się artysta malarz Leon Wyczółkowski
1864 aresztowanie Romualda Traugutta w mieszkaniu na Smolnej
1906 zamordowanie w Rosji popa Hapona

12 Kwiecień

1684 zm. wynalazca skrzypiec Nicola Amati
1831 ur. się malarz belgijski Meunier
1834 ur. się poeta Mieczysław Romanowski
1880 zm. Henryk Wieniawski
1924 Grecja ogłasza się republiką
1932 ustalenie przez konferencję rozbrojeniową nielegalności wojny chemicznej i bakteriologicznej.
1938 zm. Teodor Szalapin
1945 zm. prezydent USA Franklin Roosevelt

13 Kwiecień

1695 zm. bajkopisarz francuski LaFontaine
1793 Drugi rozbiór Polski
1822 zm. Marcin Molski
1861 ur. się Cezary Jellenta
1904 zm. Wasilij Wereszczagin, malarz rosyjski
1944 Likwidacja armii niemieckiej na Krymie
1945 zdobycie Wiednia.

14 Kwiecień

1570 „Ugoda Sandomierska" Kalwinów, Lutrów i Husytów w Polsce
1759 zm. kompozytor Jerzy Haendel
1818 otwarcie Biblioteki Publicznej w Warszawie
1820 ur. się artysta i reżyser Jan Królikowski
1917 zm. Ludwik Zamenhoff, twórca „Esperanto"
1919 Sejm Nauczycielski pod przewodnictwem Jana Kasprowicza
1938 zm. Piotr Stachewicz uczeń Matejki

15 Kwiecień

1797 powstaje Hymn Narodowy „Jeszcze Polska nie zginęła"
1861 otwarcie I sejmu dla Galicji
1812 Katastrofa „Titanica"
1932 przekazanie zbiorów Biblioteki Wilanowskiej — Bibliotece Narodowej
1943 uformowanie I Dywizji im. Kościuszki.

Stanisław Maria Saliński

BENIAMIN

OPOWIEŚĆ Z PODEJRZANYCH MÓRZ

I.

Deszcz. Przeklęty tonkiński deszcz. Prześladował mnie nieustępliwie już od trzech tygodni, beznadziejnie monotonny, drobniutki, syczący w bambusowym dachu, obezwładniający do cna. Przeklęty deszcz, przeklęty świat, przeklęte Moncay, przeklęty „Paradis".

Ale gdzież było pójść spod tego syczącego w dachu deszczu jak nie do przeklętego „Paradisu?" Brnąłem przez gliniaste wymarłe Moncey, pełen obrzydzenia i nadziei — właśnie do „Paradisu". Ostatecznie — jeszcze kilka kieliszków anisette, jeszcze jeden wieczór na jednym z trzech taboretów, w półmroku i ckliwym dymie chińskiego tytoniu, jeszcze kilka djalogów z madame lub monsieur Gobinot o ciężkich czasach, o Moncay, o padre Ingazio, byle o czym. Tak, kierunek na „Paradis", nie ma co. I wreszcie — dziś jest piątek. Monsieur Gobinot zapewniał, że najdalej w końcu tygodnia można spodziewać się przybycia tego przeklętego brygu na którym być może...

„Paradis". Najokazalsza budowla w całym Moncay ocalała po tamtym pamiętnym pożarze: parterowy domek z zawiłym i tajemniczym labiryntem przybudówek i figlarnym mezaninem, nad którym złocił się i szkarłatniał widoczny daleko z morza szyld z obiecującą nazwą.

Podejrzany raj nad podejrzanym morzem, bungalow nie bungalow, hacjenda nie hacjenda, coś pośredniego między willą szwajcarską a pałacem malajskiego kacyka. Kiedyś budynek straży celnej, w czasach, gdy granica między francuskimi Indochinami a cesarstwem Chin biegła tuż za rogatkami Moncay, z biegiem lat zmieniał swe przeznaczenie: poprzez więzienie, szpital niemieckich diakonisek, palarnię opium aż do „Paradisu", rezydencji i przedsiębiorstwa państwa Gobinot.

Zmieniało się przeznaczenie dziwacznego szaletu nad morzem, nie zmieniały się natomiast zapachy, nawarstwiając się z biegiem lat i zastygając na zawsze. Toteż tancbuda państwa Gobinot pachniała wszystkimi zapachami jej poprzedniczek — szpitalem, więzieniem, lupanarem, scementowanym lukrecjowym zapachem morszczyny i smrodem gnijących wodorostów i ryb, które coraz ciszej i bliżej werandy „Paradisu" podsuwało podstępne, łagodne jak baranek morze.

No, więc jestem. Zanurzyłem się w rajską aurę i usiadłem na jednym z trzech taboretów przed szynkwasem w mrocznej wilgotnej salce. Deszcz ciurkał o blaszany okap nad werandą, weselszy jakiś i zabawniejszy, niż tamten z bambusowego dachu w misji. Wprost przed sobą w wycięciu kwadratowego okienka miałem mleczny i pusty obszar morza, już szarzejący w oczekiwaniu nocy. Przycumowane do pali pustego mola, biegnącego w deszczową nicość połyskiwały czarne pudła dżonek, jak lakierowane, podobne do podłużnych trumien oczekujących na pasażerów, aby przewieźć ich na tamten brzeg Styksu. Dalej, ledwie już widoczny wrak szkunera, tkwiący tu podobno od pięciu lat nieporuszenie na mieliźnie, gdyż nawet najgwałtowniejsze cyklony docierały do tej przeklętej zatoki, jako łagodny zefir, niezdolny strząsnąć na ziemię nawet najbardziej przejrzałej kiści bananów z najbardziej czułej palmy. Jeszcze dalej — najbardziej jałowa pustynia, oślepiająca oczy oksydowanym srebrem w czasie pogody, a w czasie deszczu działająca, jak chloroform. Jeszcze najdalej, ledwie widoczny żagiel dżonki, ślimaczący się na horyzoncie, ospale czołgał się na tle mokrego nijakiego świata w nicość. Ohyda!

Za przepierzeniem słychać było brzęk szklanki i westchnienia. Tak wzdychać umiała tylko madame Gobinot, zwłaszcza, gdy cierpiała na nostalgię. Ba! Westchnienia jej poznałbym wśród najgłębszej ciemności. Mieściła w nich wszystko — nudę, sto kilo swojej żywej wagi, tęsknotę za Marsylią, małżeńskie żale do Maurycego, deszcz, koszmarny połysk nieruchomej zatoki. Czasem szelest leniwego przypływu w zatoce, borykającego się z przybrzeżną mierzwą miał w sobie coś z westchnień madame Gobinot. Kiedyś nawet powiedziałem jej o tym. Była zadowolona z komplementu, że wzdycha jak morze.

— Bon soir, chere madame, — powiedziałem głośno przed siebie za przepierzenie. — Bon soir, monsieur, — odkrzyknęła. — Słyszałam, że ktoś wszedł, ale sądziłam, że to mój Maurycy. Zaraz panu służę.

Ściemniało się szybko. Deszcz zadudnił dźwięczniej o okap i wśród listowia za werandą zaczął się chór szelestów. Żagiel dżonki zatarł się we mgle i świat opustoszał doszczętnie. Wzdłuż molo przebiegł tam i spowrotem chudy szkielet psa obciągnięty połyskującą skórą.

— Przeklęty deszcz, — powiedziałem do wchodzącej madame Gobinot, — ciekaw jestem, po ilu latach pobytu tu dostaje się obłędu? Przecież to inaczej skończyć się nie może. Deszcze i deszcz.

Oparła się pulchnymi łokciami i fenomenalnym biustem o ladę. Kokieteryjnie zmrużyła swe niewiadomo dla kogo podczernione rzęsy, psując tym efekt swych bajecznie fijołkowych oczu.

— Pan mówi, jak długo? W każdym razie osiem lat bez kilku dni, monsieur, czyli tak długo, jak tu jestem. Ale obawiam się, że do ośmiu pełnych lat nie dociągnę. Merde! Utopię się. To lepsze, niż zwariować.

Przytaknąłem melancholijnie. Oczywiście, że lepsze. — Madame Gobinot — powiedziałem poważnie, — a jednak to, co pani zamierza uczynić jest straszne. Powinna pani pamiętać, że gdyby tak się stało, świat będzie jeszcze bardziej okropny. Bez pani, parbleu! To niemożliwe! Madame Gobinot, niech się pani zastanowi! A tymczasem jeśli pani pozwoli — kieliszek anisette...

Westchnęła i nalała dwa. Do stęchłej aury „Paradisu" przybył ckliwy zapach anyżu. Zwinna, zielonkawa gekko oderwała się od bobrowania w leżącym obok ananasie i przysiadła na tylnych łapkach, węsząc nowy aromat. Madame Gobinot dała jej pstryczka w brzuszek i filigranowa jaszczureczka parabolicznym lotem cicho plasnęła o podłogę.

— Już wybrałam sobie miejsce, monsieur. Pójdę na sam koniec molo i...

— Tam jest nie cały metr głębokości, madame Gobinot. Szkoda fatygi. I w ogóle to jest szalony pomysł, madame Gobinot — topić się w Moncay. Przecież tu całą redę można przejść tam i spowrotem nie zamoczywszy, powiedzmy, pępka. A przy pani słusznej budowie, nie zamoczywszy nawet...

Zaświeciła oczami, delektując się dwuznacznością niedomówienia. Roześmiała się i podniosła swój kieliszek do warg.

— A la votre. Z panem się miło gawędzi, monsieur. Dziś zupełnie serio myślałam, że pojutrze bez pana będzie tu jeszcze nudniej...

— A la votre. Pojutrze? Dlaczego już pojutrze, madame Gobinot?

— A co? Nie skorzysta pan z brygu?

— Jest?

— O, tak. Od wczoraj, monsieur.

Wiadomość była elektryzująca. Więc bryg, w przybycie którego nie bardzo wierzyłem, mimo zapewnień monsieur Gobinot...

— Gdzie?

— Zarzucili kotwicę poza redą, za Cap Pakiung. Mają zbyt wielkie zanurzenie. A pozatym...

Zrobiła nieokreślony ruch ręką, dostatecznie jednak wymowny. Mętny bryg na mętnych wodach, niewyraźne sprawy podejrzanych mórz. Holenderska bandera, angielskie papiery, kosmopolityczna załoga, licho wie, jaki ładunek. W pogotowiu, dajmy na to, bandera panamska, papiery francuskie i ta sama załoga o innych imionach na innej liście. A ładunek? Chińskie frachty in blanco, na których można wypisać, co się żywnie podoba, lekarstwa, chlorek, kawę, brzytwy, zegarki. Byleby zgadzała się waga skrzyni czy paczki. Poczciwe straże portowe pilnowały w tych stronach tylko zgodności wagi. A reszta... Mon Dieu, ktoby tam chciał narażać się na badanie istotnej zawartości skrzyń? Poco ryzykować? Ostatecznie, załoga takiego na przykład brygu może liczyć dwadzieścia osób łącznie z kapitanem, a największa motorówka straży granicznej z Hai-Phong — sześć. Poco ryzykować? Narobi się, dajmy na to, szumu z jedną przyłapaną łajbą — i co? Nieopłacalna satysfakcja: przyłapany jeden na sto.

— To wspaniała dla mnie wiadomość, madame Gobinot... Czy aby pewne?

— Jak pana teraz widzę, monsieur. Zresztą, dziś rano był tu jeden z załogi. Miał interes do mojego Maurycego. I nawet doskonale dla pana składa się, bo to jakiś dawny pański kompan. Mówił, że jest pańskim przyjacielem, gdy dowiedział się o panu od nas.

— Przyjaciel! Na Boga! Któż taki?

— Nie znam jego nazwiska. Mały, zezowaty. Pływał z panem na morzu Japońskim czy coś takiego. Kucharz.

— Kucharz?

— Przynajmniej teraz. Na brygu jest kucharzem.

Kucharz, mały, zezowaty? Wytężyłem pamięć. Nie, nie przypominałem sobie małego zezowatego kucharza, mego przyjaciela. Na morzu Japońskim?

— Jakiej narodowości, madame Gobinot?

Rozłożyła bezradnie pulchne ręce i potrząsnęła paryskimi loczkami.

— Biały? Kolorowy?

— Przede wszystkim, brudny. Ale gdyby umył się, zdaje mi się, że biały.

Mały, zezowaty i brudny kucharz? Jeszcze nie mogłem wpaść na trop. Mały? Obok madame Gobinot wszyscy mężczyźni poniżej metr sześćdziesiąt byli mali. Zezowaty? Zlustrowałem w pamięci wszystkich zezowatych. Było ich kilku, lecz jeden z nich — kapitan „Indigirki", sędziwy atleta, drugi — ksiądz z Władywostoku, trzeci mój szkolny wykładowca. Żaden z nich nie pasował do małego zezowatego kucharza.

— Może jeszcze coś, madame Gobinot. W jakim języku mówi.

— We wszystkich po trochu, jak to w tych stronach. Kuleje.

— Oho! I odrobinę jąka się? Właściwie zacina się?

— Właśnie!

— Brawo, madame Gobinot! Już wiem!

Brawo! Znamiona pasowały do siebie, jak ulał: zezowaty, kuleje, jąka się. I istotnie, wzrostu nie tyle małego, co niewysokiego. Jako żywo: komiczny, bezbarwny kuternoga, przycupnięty na żydelku przed wejściem do kambuza „Penzy" i skrobiący kartofle. Zwinnie, małpio, z namaszczeniem — góry karofli. Załoga „Penzy" — pięćdziesiąt dwie gęby, pasażerów, za każdym rejsem Władywostok — Tsuruga, conajmniej trzysta. Podstawą kuchni na „Penzie" były kartofle, a więc conajmniej trzysta pięćdziesiąt kilo dziennie do oskrobania. I to wszystko na barkach i przez żonglerskie palce tego... Nazwisko? Ba! Nazwiska, bodaj, nie miał, chyba na liście załogi, przedstawionej portowym władzom sanitarnym i policyjnym w Tsurudzie. Na imię miał — o ile pamiętam — Beniamin, naczelny kucharz wołał nań z rosyjska „Wieńka", pomocnik naczelnego z angielska „Ben", a reszta załogi „kartoszka". A co do mojej przyjaźni z nim...

Nasz kubryk — praktykantów i wszelkiej aspirantury, od młodych stewardów do jungów z maszynowni — mieścił się w rufie „Penzy". Za nim był już tylko pakamer, gdzie za każdym postojem we Władywostoku składano nowy zapas kartofli, żer dla kotłów kuchennych na tydzień. Pakamer zbity na prędce z desek w przedziwny sposób upodobniony był do świńskiego chlewika, a co gorsza o charakterystycznym dla chlewika zapachu, gdyż rzecz działa się w lipcu, a zeszłoroczne kartofle były bardzo podgniłe. Nawet najmniej wrażliwy na wszelkie smrody Butmi ze złością i obrzydzeniem zatrzaskiwał drzwi do chlewika ilekroć były uchylone i zatruwały szlachetny odór morza. Tędy właśnie przez kurytarz łączący pakamer z kuchnią, obok drzwi naszego kubryka bezustannie kuśtykał „kartoszka", dźwigając kubły, raz pełne kartofli, raz próżne. Regularnie, jak zegarek, od świtu do nocy, truchcikiem tam i spowrotem, tam i spowrotem. Przykucał na zydelku przy kambuzie, szybkimi ruchami, czegoś podobnego do dziesięciu palców żonglował zawartością kubła i od czasu do czasu pozwalał sobie na radosny figiel, ciskając garść obierzyn przed siebie za burtę. Wtedy zrywał się huragan mewich skrzydeł. Srebrne, białe i wrzaskliwe nadlatywały hurmem na urojoną zdobycz. Bawiło go to, niewiadomo, co więcej — czy wirujący szelest rozdygotanych w słońcu skrzydeł czy dziki wrzask zawodu, gdy oszukane ptaki spostrzegły niejadalność fruwających w powietrzu smakołyków. Figle z mewami skończyły się, gdy pewnego dnia właśnie podczas kulminacji mewiego nalotu przechodził tędy bosman Archipienko. Masywnie trzepnął Beniamina w ucho i coś tam warknął, żeby tych głupstw więcej nie było. „Kartoszka" i mewy przestali odtąd znać się.

Było to podczas ostatniego mego rejsu na „Penzie". Szliśmy do Tsurugi. Skończyłem wachtę o północy, ale sen jakoś się mnie nie imał. Odwlekałem chwilę pójścia do kubryka. Stałem przy chlewiku. Niebo pełne japońskich gwiazd było wyjątkowo wspaniałe, basowy tkliwy łoskot śruby lał się jak muzyka organów, a fosforyzująca wstęga wody za rufą wyglądała naprawdę ładnie. Po dniu pełnym głupich kłopotów milczący ogrom nocnego oceanu był jeszcze bardziej uroczysty i potężny. Nic — tylko organowe dudnienie śruby, migotanie szeleszczącej płaszczyzny wód i gwiazdy, gwiazdy, gwiazdy.

Drzwi do pakameru były uchylone, a za drzwiami coś pojękiwało czy popłakiwało. Nadsłuchwałem. Ludzki głos mamrotał jakieś skargi czy prośby, w każdym razie coś bardzo żałosnego. Z początku sądziłem, że to rozmowa, lecz po chwili upewniłem się, że monolog, lecz w dwóch tonacjach, sam siebie o coś prosił i sam sobie na coś odpowiadał. Od czasu do czasu — jęk.

(Ciąg dalszy w następnym numerze)

Objaśnienia wyrazów:

anisette — napój alkoholowy o smaku anyżowym
padre — ksiądz
bryg — statek żaglowiec
mezanin — wysoki parter
bungalow — dom
hacjenda — ferma, folwark
diakoniski — zakonnice
morszczyna — rośliny morskie ze szczególnym uwzględnieniem roślin o dużej zawartości jodu o liściach zakończonych kulkami
dżonka— łódka chińska
bon soir, cher madame — dobry wieczór, droga pani
bon soir, monsieur — dobry wieczór panu
parbleu — psiakrew
gekko — stworzonko owadożerne podobne do jaszczurki
á la wotre — w wasze ręce
łajba — każdy statek nie „rasowy" (gwara)
kambuz — pomieszczenie na statku, gdzie znajduje się kuchnia
kubryk — pomieszczenie dla załogi
jung — młody chłopak po szkole bez praktyki na statku
rufa — tył okrętu
wachta — warta na statku

MIECZYSŁAW GURANOWSKI

KROTOFILA ZYGMUNTA AUGUSTA

III

(Ciąg dalszy)

Na znak Jaśka który już królewica imitował ,ruszył hufczyk we wskazanym kierunku. Jakoż, minąwszy krzyż i niewielki lasek brzozowy, ujrzeli gon ty małego dworku ,ginącego niemal w olszynie. Wrota były otwarte, i młódź z trzaskiem wjechała do wnętrza. Było tu zacisznie, rzekłbyś: ludzie się ukryli. A kiedy Gniewosz zatrąbił w róg, jakby pod różdżką czarodzieja, z gąszczy wybiegła młoda dziewczyna, i przysłoniwszy oczy od blasku słońca, patrzała zdumiona na ten poczet rycerzy. A oni spoglądali na pannę, bo zaiste, był to nielada obrazek! Stała przed nimi młódka lat może szesnastu, cała złotopszenna ,chabrooka, nad miarę foremna; pośród tej zieleni, w onej pustce leśnej wydała się niby: dziwożona. Rycerze, jakby na komendę, zeskoczyli z konia zaczem Jaśko z Krzeszowic uchyliwszy beretti, przemówił:

— Wybacz ,waćpanna, za on najazd tatarski, wżdy jedziemy z Wawelu i prosim o gościnę.

— Jezus, Maria, — zawołała panna, — toć to chyba poczet królewski, a my same doma ze stryjenćią, bowiem stryjcio za sprawami pana Lisickiego do Tęczyna pojechał.

— Nic to, — odpowiedział grzecznie Krzeszowicki, — jeżli nie w porę, to hajda na gościniec, waszmościowie!

— Wedle rozkazu, wasza miłość, — zakrzyknął Szydłowiecki.

— Uchowaj Boże, — zaprotestowała panienka, — nie godzi się waszmość panów z gniazda szlacheckiego wypuszczać, czem nasza chata bogata, tem ci rada. Proszę na majdanek, a ja stryjenćię uprzedzę.

Poczem znikła w gąszczach, a za chwilę ukazała się w asyście doletniej matrony. Tu wystąpił mistrz Sylvio Amato i trochę łamaną polszczyzną rozpoczął orację.

— Czcigodna dobrodziejko i zacna signorino! Jako że człek w podróży jest niby to psie bezdomne, które wsze lako posiadając instynkta i rodzajowi ludzkiemu zgoła nie obce, zawżdy trafi pod dach zacny, tako, **veramente!** — i my bezdomni, a zaś srodze pomęczeni, do serca asińdźki kołaczemy z prośbą o gościnę w tym dworku.

— Całym sercem służymy, — odpowiedziała dygając szlachcianka, racz wszelako waćpan wybaczyć, że zapytam z kim honor mamy?

— Poczet to j. k. m. królewica Zygmunta, który z tą oto świtą podróż odprawuje dla kraju zwiedzenia. A jam ci jest Joannes Sylvio Amato, ochmistrz królewski, którego uczoność ogółowi jest znana.

— Poczet królewica Zygmunta — szeptały oniešmielone — święta Kunegundo, co za honor na nasze niskie progi. A jakże to my ugościmy tak znaczną personę?

— Dobrym słowem i chłodnym napojem ,asindźko,—zaśmiał się Jaśko,— imitujący królewica, a Zygmunt aż się roześmiał z tonu jego majestatu.— Toć w podróży — ciągnął dalej — jak popadnie, a zasię wszyscy sobie równi.

— Dzięki za wyrozumiałość, wasza dostojność — odpowiedziała stara dama, — tedy pozwólcie, że się zaprezentujemy. Jam jest Anna Kordaszowa, herbu Lubicz, a to moja bratanica, Jolanta.

Stały obydwie w hołdzie zgięte Jaśko uchylił kapelusza, a za nim wszyscy dworzanie Zaczem pani Kordaszowa rzekła:

— Radabym cały dwór w. k. m. ugościć, wszelako izby nasze maleńkie.

— Ostawcie, pani Kordaszowa, toć my drogę odbywamy dla rajskich widoków zieloności i słoneczka, którego dalipan, w izbie nie masz. Jeżli to wać pani dogadza, najchętniej pod temi ka sztanami będziemy biesiadować.

— Jola, — zwróciła się starsza do bratanicy, — a przywołaj służbę — wedle stołów!

— Pani Kordaszowa, aby jeno co chłodnego, bowiem, napitki i mięsiwo mamy w sepetach.

Panna Jolanta pobiegła do pachołków, zasię starsza gospodyni zniknęła w izbach, sposobiąc sprzęty i naczynia. A tymczasem dworzanie rozkulbaczyli konie, puścili je samopas na murawę, a Gniewosz jął otwierać sepety.

ochmistrz, jeno panna Jolanta, mając po jednej stronie przebranego, a po drugiej prawdziwego królewica, milczała uparcie. Zygmunt, z natury nieskory do rozmowy, pierwszy to raz w życiu w towarzystwie poddanki, zaprawdę nie wiedział co mówić, to też rozpacznie mrugał na druha, oczekując od niego pomocy. Nie dał się wżdy prosić pan Krzeszowicki, i raz po raz pochylając się nad uszkiem pięknej panny, prawił jej słodkie androny:

— Jako żywo, wszystkich nas waćpanna zawojowała! Co za liczko, co za oczęta! Dalibóg, niczem Venus, co się zrodziła z piany morskiej i krwie Uranosa, władcy niebiańskiego!



Rys. Edmund Bartłomiejczyk

— Na Boga! zaprzeczył Krzeszowicki — azali waćpanna mniemasz, że królewica interesują sny którego z ochmistrzów?...

— Wasza miłość, — szepnął do królewica Krzeszowicki, — jako żywo nie widziałem cudniejszej panny. Cała opresja w tem, że mnie jako wam nie uchodzi zbytniej z nią poufałości!

— Tedy cię zastąpię, Jaśko — zaśmiał się królewic.

— Och, — jęknął dworzanin, — zawżdy prawdziwi królewice w czepku się rodzą!

Jakoż nadbiegli pachołcy i wnet stół na kozłach rozstawili, zasię pani Kordaszowa i jej bratanica zastawę czynili. I nie dłużej pacierza, a już na stołach ukazały się butle wina, a do tego placuszki, zimne jabłeczniki z loszków wydobyte. Służba nalewała czarki, a rycerze, pod wodzą uczonego Sylvia, zabrali się kordialnie do pijatyki. I jeno białogłowy nieco zawstydzone tą junacką a dworną kompanią, trzymały się na uboczu.

— A zacne gospodynie? — dopraszał się Jaśko — do stołu prosim.

Tedy przysiadły się: pani Kordaszowa do pana Amato, zasię panna Jolanta do Krzeszowickiego. Wnet zaczęły obiegać wiwaty i szumne zdrowia. nadobnej płci w hołdzie, zaczem cały Olimp z imionami bogów zestąpił na padoły. Podochociła sobie setnie młódź, zamroczył się takoż zacny

— Wasza dostojność dworuje z szlachcianeczki, toć na zamku wawelskim ode mnie urodziwsze.

— Mogą one waćpannie za pachołka do trzewiczków służyć. Zresztą wszystkie one mdliwe, do się podobne. Ty zaś jako ta Aurora, z którą nic się porównać nie zdoła...

— Prawdę powiada wasza dostojność? — pytała oczarowana dziewczyna.

— A bodaj mnie zabito, jeżli kłamię! panno Jolanto, nie godzi się słów królewica brać za swywolę.

— Słów królewica, — powtórzyła w rozmarzeniu panienka, — to słowa święte; siedzę tu obok was, miłościwy panie, patrzę na was i wierzyć mi się nie chce, aża królewica oglądam... a przecież tak mi się to niegdyś śniło...

— Sny częstokroć sprawdzają się, panno Jolanto,. A opowiedźcież mi je, proszę.

— Nie czas po temu, miłościwy panie, — szepnęła z rumieńcem, — oczy tu obecnych na nas zwrócone, tedy pozwólcie, że do gości wstanę.

Istotnie młódź spoglądała z zawiścią na Krzeszowickiego, a poniektóry sarkał, nazywając go w myśli oczajduszą. Sam Zygmunt nie był zadowolony ze swojego imitatora, szykując się na walną z nim rozprawę. Jakoż wszyscy byli syci, napojeni, Jaśko powstał, dając znak zakończenia biesiady. Młódź z ostentacją dziękowała miłym gosposiom, poczem pani Kordaszowa zaproponowała gościom przechadzkę po sadzie. Nie dali się dworzanie prosić, jeno messer Amato przymówił się o spoczynek w izbie, narzekając na jakoweś bóle w żywocie.

Królewic czyhał na pannę Jolantę, która naprawdę po smagłych włoszkach wydała mu się nad miarę urodziwą. Mrugnął tedy na Jaśka i szepnął mu na ucho:

— Ah, ty dziusie wcielony, sam jeno będziesz miody spijał? Rozkazuję ci placu ustąpić mi przy dziewce.

— Wedle rozkazu, wasza miłość, — odpowiedział jednym tchem dworzanin, — nawet chętnie rydza przy onej jagódce zasadzę.

To rzekłszy, skłonił się obleśnie przed panną Jolantą i wskazując na królewica, rzekł:

— Waćpanno, oto mój konfident... dworzanin, Jaśko z Krzeszowic...

— ... bodaj cię zabito, — mruknął rozgniewany królewic — —

— ... któren — ciągnął dalej oczajdusza — wodzi za waćpanną oczyma, jako ten słonecznik za słońcem. Tedy was zostawuję, jeno mi go waćpanna nie rozmiłuj w sobie!

I pełen majestatu ruszył, zaś oni pozostali srodze zawstydzeni.

— Racz mi waćpanna sad zaprezentować, który wydaje mi się nadobny.

— Chętnie waćpanu służę, — odpowiedziała dziewczyna. I poszli, — aliści niewielemowny królewic biedził się, jak z śliczną młódką gawędę rozpocząć.

— Gorąc coraz większa — zaczęła panna.

— Widzi się, będziemy mieli znojne latko.

Pomilczeli.

— Azali nie gniewna nam waćpanna za on najazd? — spytał po chwili królewic.

— Uchowaj Boże, taka zacna kompania i w dodatku z królewicem! Bardzośmy ze stryjenćią rade.

— To waćpanna królewica nigdy nie widziała?

— Jako żywo! chocia Kraków niedaleko, rzadko tam jeździmy.

— Panna Jolanta zawżdy przy robocie?

— Po prawdzie to macie słuszność, panie rycerzu, aleć taka już dola białogłowej. Pracuje i haruje, a najgorsza, że onej roboty nie dowidzisz.

— A gdzie waćpanny rodzice?

— Pomarli zaś, kiedym miała dwa roczki.

— To waćpanna sierota? — pytał ze współczuciem królewic.

— Jako ta grusza samotna na polu.

— Takowej chyba markotno na świecie?

— Mnie zaś? Cale! Stryjeństwo mnie miłują jako rodzoną A Zaborów ka nasza cudneńka. Na wiosnę bzy w sadzie kwitną, a nockami słowiki mało-wiele gontów nie rozłupią. Zda się sady Panny Marii powinność ślubują. A latko zasię, to już niby msza w kościele. Jeno chorały, jeno kadzidła, jeno złotość Pana Jezusowa. Jesień po prawdzie tęskliwa, bo wichry pojękują, a zaś kiedy wyjdę na zagony, wołają dusze pokutujące, to potem jest za kogo do Pana Boga się pomodlić!

— A zimą? — spytał ciekawie królewic

(c. d. n.)

FAŁSZERZE PIĘKNA



Tiara Saitafernesa. Dzieło niewykształconego złotnika, zakupione przez Muzeum Louvre'u jako antyczne za 200.000 franków.

POPRZEDNICY VAN MEEGERENA

Niedawno pisma przyniosły wiadomość o śmierci van Meegerena, genialnego fałszerza obrazów siedemnastowiecznego mistrza Vermeera van Delft. Sprawa Meegerena wywołała zrozumiałą sensację, na którą złożyła się obok podziwu dla jego kunsztu także złośliwa radość szerokich kół amatorów sztuki, wobec tak oczywiste go potknięcia uczonych fachowców. No bo jakże! Eksperci reprezentacyjnego Boymansmuzeum w Rotterdamie, zaopatrzeni w cały warsztat naukowej ekspertyzy: mikroskopy, roentgen, laboratorium chemiczne, zakupują dwa falsyfikaty, robiąc z zakupu wielki ewenement. Wybitny badacz daje ich reprodukcje w monografii po święconej Vermeerowi, opiera nawet częściowo na nich gmach naukowych hipotez. Krach spowodowany zdemaskowaniem Meegerena był tak nieprze widziany, że jeden z posiadaczy rzekomych oryginałów do dziś nie chce uwierzyć w nieprawdziwość najcenniejszego „gwoździa" swych zbiorów. O swoim triumfie dowiódł Meeregen, tworząc w więzieniu jeszcze jednego fałszywego Vermeera, po dostarczeniu mu żądanych materiałów. Genialny oszust holenderski nie jest zjawiskiem odosobnionym. Tego samego fachu imali się przed nim także inni, spędzając sen z powiek kolekcjonerów prywatnych i dyrektorów muzeów.

Historia fałszerstw w dziedzinie sztuki biegnie równolegle do dziejów zbieractwa.

Doszło do tego po raz pierwszy na wielką skalę w starożytnym Rzymie. Stosunki tam panujące, a zwłaszcza snobistyczny stosunek do dzieła sztuki, jak również wartościowanie wyłącznie z punktu widzenia walorów pieniężnych, przypominają niezmiernie żywo ustosunkowanie się dzisiejsze. Wirtuozeria techniczna ułatwiała przedsiębiorczym rzemieślnikom wierne naśladowanie tworów greckiej epoki klasycznej, czy też archaicznej, przeważnie posągów i ozdobnych naczyń. Rzymski bajkopisarz Fedrus pisze w jednym miejscu „Gdy ktoś z literatów posługuje się imieniem Ezopa, czyni to, ażeby podnieść wartość swoich prac, podobnie jak to czynią liczni artyści, gdy na nowym marmurze piszą imię Praksytelesa, Myrona na polerowanym srebrze, a Pauzaniasza pod świeżym malowidłem". Srebrne puchary z warsztatu rzymskiego fałszerza Mentora są przyczyną wielu sporów pośród archeologów.

Prawdziwe „złote czasy" nastały dla fałszerzy z epoki „Odrodzenia". Kult wszystkiego co miało związek ze starożytnością, obfitość protektorów sztuki, zakładających własne galerie, pociągnęły za sobą olbrzymi popyt na prace artystów dawnych i współczesnych, a co się z tym łączy, dały podnietę rozmaitym nadużyciom. Zwłaszcza, że „morale" człowieka renesansu nie było specjalnie obciążone skrupułami. Ottaviano Medici nie wstydził się zamówić kopii słynnego portretu Leona X Raffaela, u wybitnego rzeszą malarza Andrea del Sarto, którą następnie sprzedaje jako oryginał księciu Mediolanu. Także ręce Michała Anioła nie są całkiem czyste. I tu inspiratorem był Medici, wielkoduszwał rzeźbiarz jeden ze swych posągów, tak aby mógł uchodzić za antyczny. Sfałszowanego kupida nabył za wielką sumę jeden z rzymskich kardynałów. Hochstaplerem wyższego rzędu był wszechstronnie utalentowany florentczyk Benvenuto Cellini, chociaż starał się w miarę możności wybielić w swych głośnych pamiętnikach. Współcześni zarzucali mu nie tylko podrabianie rzeźb i waz antycznych, lecz ponadto fałszowanie monet. Słynne są procesy, jakie prowadził w Wenecji i Norymberdze Albrecht Dürer przeciwko swoim kopistom. Liczba fałszywych płyt drzeworytniczych i miedziorytniczych, z sygnaturą norymberskiego mistrza wyny Lorenzo. Z jego polecenia spatynonosiła już za jego życia około 1.000. Jeśli przyjąć, że z każdej płyty wykonano co najmniej 50 odbitek (w praktyce odbijano ich znacznie więcej), to otrzymamy oszałamiającą cyfrę 500.000 falsyfikatów! Ofiarą oszustw padł m. inn. pomorski mecenas ks. Filip II, w którego zbiorze znajdował się. licho zresztą podrobiony rysunek Dürera.



„Uczniowie w Emaus" najsłynniejszy z falsyfikatów Vermeera van Delft, wykonanych przez Meergerena.

WARSZTATY OSZUSTÓW

W XVII i XVIII wieku otworzyły się nowe, szerokie możliwości wyprowadzenia bliźnich w pole. Moda na chińszczyznę wszelakiego rodzaju i porcelanę, pobudza przedsiębiorczych rzemieślników do masowej produkcji pożądanych, a przy tym wysoko cenionych przedmiotów. Niespodziewany awans społeczny w postaci nagłego wzbogacenia skłania wielu ludzi do urządzania mieszkań, na wzór rezydencji dawnej arystokracji. Uzewnętrznia się to przede wszystkim w gorączkowym gromadzeniu dzieł sztuki. Kompletna ignorancja ze strony kupującego otwiera wrota najbardziej bezczelnym mistyfikatorom. Niesumienni handlarze działają tu ręka w rękę z wykonawcami falsyfikatów. Nie ma chwytu, któryby nie został użyty, ażeby uśpić czujność nabywcy podejrzanego obrazu, rzeźby, mebla. Handlarz nakłada maskę bezinteresownego uczonego, miłośnika sztuki, który z czystej sympatii do klienta udziela mu fachowych rad. Zdeklasowani arystokraci służą często jako wabik, sprzedając swoje rzekomo „rodzinne" pamiątki. Amerykańskich milionerów, pragnących zakupić jedynie na ich oczach wydobyte z ziemi antyczne rzeźby, uspakaja pomysłowy oszust, wioząc na miejsce, gdzie już czekają zakopane uprzednio falsyfikaty. Głośne są przygody Morgana, nabywcy pięknych barokowych kolumn z lapis — lazuli, które rozpłynęły się po ustawieniu w pobliżu kaloryferów, w nowojorskiej siedzibie bogacza. Kolumny były z lichego materiału, a umiejętny fałszerz pokrył je tylko cienką warstewką drogiego kamienia. Inny znów amerykański nabab zakupił we Włoszech rzekomo Raffaela. Chcąc się uchronić przed zakazem wywozu dzieł sztuki, kazał na powierzchni obrazu, przedstawiającego Madonnę, namalować pejzaż zimowy. Przy zdejmowaniu przemalowań, już za oceanem, wyszło na jaw, że pod pejzażem i Madonną znajduje się jeszcze jeden obraz. Był nim portret Wiktora Emanuela! Na nieco podobnej zasadzie opiera się wielokrotnie stosowany rodzaj podrabiania, polegający na przerabianiu autentycznych, starych obrazów, o małej wartości artystycznej. Korygując nieudolność rysunku, ubóstwo palety barwnej, fałszerz podnosi wielokrotnie cenę tak „uszlachetnionego" zabytku.

Wojna pomiędzy artystą fałszerzem i nieuczciwym antykwariuszem z jednej, a znawcą kolekcjonerem i historykiem sztuki z drugiej strony, toczy się bez ustanku ze zmiennym powodzeniem. Zarówno jedni jak i drudzy dysponują coraz to bardziej wydoskonalonymi metodami walki, która często obfituje w dramatyczne momenty. Pełne ich były — zwłaszcza wydarzenie z „Tiarą Saitafernesa" i sprawa fenomenalnego fałszerza Dosseny — afery w wielkim stylu, o zakroju Meegerena. Podobnie jak w tym ostatnim wypadku, w grę wchodził prestige wybitnych uczonych i najpoważniejszych muzeów świata.

PODROBIONA BOGINI ZA 30 MILIONÓW

T. zw. „Tiarę Saitafernesa" rzekomo arcydzieło sztuki złotniczej bliskiego Wschodu, zakupiło muzeum Louvre'u w r. 1896, za olbrzymią wtedy sumę 200 000 franków. Twórcą, wykrytym przez przypadek, okazał się rosyjski rzemieślnik analfabeta! Sprawa Włocha Dosseny trzymała w napięciu przez dłuższy czas cały świat fachowy i miłośników sztuki. Jak Meegeren potrafił Dossena wczuć się do tego stopnia w ducha pewnych epok, że tworzył całkiem samodzielnie dzieła w stylu wielkich mistrzów, nie będące kopiami, ani kompilacjami rzeczy znanych. Specjalnością Dosseny były rzeźby wczesnorenesansowe i antyczne. Madonnę z Dzieciątkiem, relief pełen wdzięku quattrocenta, zakupiło jedno z muzeów londyńskich za 3 miliony lirów. Drewniana scena Zwiastowania w stylu sieneńskiego malarza Simone Martiniego stała się przedmiotem zaciekłych dyskusji i poważnych rozpraw naukowych. Szczytowym jednakże osiągnięciem Dosseny jest jego „Atena".



Posąg Ateny sfałszowany genialnie przez rzeźbiarza Dosseng. Sprzedano go, jako wykopalisko za 30 milionów.

Artysta nadał twarzy bogini wyraz nieubłaganej zawziętości, właściwy niektórym rzeźbom antycznym. Wspaniale wymodelowane ciało kryje pancerz i sfałdowana tunika, po mistrzowsku przestylizowana, podobnie jak rozrzucone, kręte pasma włosów. Obtłuczenia łudząco podobne do naturalnych, najautentyczniejsza w świecie patyna mogą do rozpaczy doprowadzić wszystkich znakomitych specjalistów. Atenę zakupiono za 30 milionów lirów do amerykańskiego Eldorado.

I tu także tylko zbieg okoliczności i własna nieostrożność spowodowały zdemaskowanie. Dziwnie podobny jest żałosny finał kariery obu największych artystów - fałszerzy naszych czasów. Podczas gdy Dossena kończy życie w szpitalu dla ubogich, Meegeren umiera w więziennej klinice dla nerwowo chorych.

Zygmunt Świechowski

POZNAJMY NASZYCH ARTYSTÓW



Barbara Stępniakówna, to młode, pełne wdzięku dziewczątko, wyglądające bardziej na pensjonarkę niż na artystkę. A jednak jest już artystką od dwu lat. Występuje na scenach teatrów miejskich.

— Myślałam i marzyłam o teatrze od szczenięcych lat — mówi artystka. Zaczęła realizować te marzenia natychmiast po wyzwoleniu Pragi, gdy tylko Janusz Strachowski uruchomił szkołę dramatyczną. Choć jeszcze gęsto świszczały kule nad Pragą przyszła artystka pilnie chodziła na wykłady. Nie tylko jednak wytrwałość i zapał cechują tę młodą gwiazdeczkę scen miejskich. Ma ona niezaprzeczone zdolności, które publiczność warszawska miała możność stwierdzić w wielu różnych rolach, odtwarzanych przez Stępniakównę. Do jednej z najlepszych jej ról należała Angelika w „Chorym z urojenia".

Obecnie Stępniakówna przygotowuje specjalnie jakby dla niej stworzoną rolę młodziutkiej Marianny w „Szczęśliwych dniach", które już wkrótce w reżyserii Janusza Dziewońskiego ujrzymy na scenie teatru Powszechnego.

SPÓŁDZIELCZOŚĆ na ziemiach POLSKICH

LUDNOŚĆ GARNIE SIĘ DO SPÓŁDZIELCZOŚCI

Z działalności Oddziału „Społem" w Ostrowcu Św.

Oddział Powiatowy „Społem" w Ostrowcu Św. — jak nas informuje kierownik jego ob. Albert Paszuk. — zorganizowany został w 1917 r. Przetrwał czasy wojny i okupacji niemieckiej u schyłku której został rozgrabiony. W roku ubiegłym Oddział święcił 30-lecie swego istnienia.

Spółdzielczość w powiecie jest silnie rozwinięta. Ludność wykazuje duże zainteresowanie dla ruchu spółdzielczego i garnie się do niego, chętnie uczęszczając w pracach spółdzielni. W tej chwili na terenie powiatu istnieje 65 spółdzielni różnych typów posiadających około 130 sklepów. Unifikacja spółdzielczości wiejskiej dobiega końca. Zorganizowano już Powiatowy Związek Gminnych Spółdzielni „Samopomoc Chłopska". Jedną z bolączek spółdzielczości jest brak dostatecznych środków obrotowych.

Powiat jest uprzemysłowiony. Południowa część jest silnie zniszczona przez działania wojenne. Do r. ub. na terenie powiatu istniały dwie samodzielne placówki „Społem" w Ostrowcu Św. i w Opatowie. Zespolenie działalności tych placówek okazało się konieczne. Nastąpiło to w dniu 1 stycznia br. W Opatowie istnieje obecnie składnica podległa Oddziałowi w Ostrowcu.

Obroty Oddziału stale wzrastają. Gospodarka Oddziału i Spółdzielni idzie po linii zmniejszenia kosztów handlowych i obniżenia cen.

Oddział zatrudnia obecnie 62 pracowników (wraz ze Składnicą w Opatowie) i mieści się we własnej nieruchomości. Projektuje się wybudowanie frontowego budynku na biura Oddziału. Dotychczasowe pomieszczenia są ciasne i niewygodne. Magazyny wraz z bocznicą kolejową są na miejscu. Ulec mają rozbudowie wgłąb posesji



Grupa pracowników Oddziału „Społem" w Ostrowcu Święt. w dniu Święta Spółdzielczości

Kłopoty spółdzielczości w Ostrowcu Swiętokrzyskim

W 1902 r. powstała w Ostrowcu Swiętokrzyskim Sandomiersko - Opatowska Rolna Spółka Akcyjna, która istniała przez lat z górą trzydzieści. W 1940 r. powołana została do życia w Ostrowcu Św. Powiatowa Spółdzielnia Rolniczo - Handlowa, która nabyła wystawiony na licytację majątek ruchomy i nieruchomy Sandomiersko Opatowskiej Rolniczej Spółki Akcyjnej.

Z dniem 11 stycznia br. Powiatowa Spółdzielnia Rolniczo - Handlowa przekształcona została na Powiatowy Związek Gminnych Spółdzielni „Samopomoc Chłopska" w Ostrowcu Św. Był to pierwszy Powiatowy Związek w woj. Kieleckim, którego członkami zostały 23 Gminne Spółdzielnie „Samopomoc Chłopska".

Powiatowy Związek posiada w Administracji elewator zbożowy, stanowiący własność Państwa. Pomieszczenia magazynów zbożowych Powiatowego Związku o pojemności, około 500 ton ziarna przechowują państwowe rezerwy zbożowe. Powiatowy Związek obok Centrali w Ostrowcu Św. posiada 2 oddziały w Opatowie i Ożarowie oraz prowadzi 5 sklepów, 2 stacje benzynowe i 3 składy tarcicy „Pagedu", które pracują na podstawie umowy komisowej. Ponadto Powiatowy Związek prowadzi własne warsztaty: mechaniczny i stolarski, które uruchomiono niedawno. Warsztaty mechaniczne produkują: sieczkarnie, młocarnie sztyftowe i wialnie. Warsztaty stolarskie, całkowicie zmechanizowane przyjęły zamówienie na ławki szkolne i otwory w budynkach Inspektoratu Szkolnego na sumę około 7 milionów zł.

Powiatowy Związek otrzymał ostatnio — 3 ośrodki rolnicze: Sobótkę, Nagorzyce i Koszyce. W Sabótce powstanie gospodarstwo ogrodniczo - hodowlane, w Nagorzycach — hodowla bekonów, a w Koszycach — ośrodek nasienny.

Obszar powiatu jest w 50 proc. zniszczony przez działania wojenne. Dlatego Powiatowy Związek wielką przywiązuje wagę do akcji odbudowy wsi. Materiały do odbudowy wsi rozprowadzone będą przez agendy Powiatowego Związku i przez Gminne Spółdzielnie „Samopomoc Chłopska".

Praktycznie Powiatowy Związek na razie zaopatruje tylko Gminne Spółdzielnie w towary przemysłowe, nabywane w Okręgowym Oddziale Rolniczym i Przemysłowo - Rolnym w Radomiu.

Duże trudności w bieżących pracach Powiatowego Związku stwarzają: nikłe kredyty obrotowe i zupełny brak kredytów inwestycyjnych: Poza tym odczuwa się na terenie powiatu brak materiału siewnego do wiosennej akcji siewnej. Dotychczasowe przydziały zbóż siewnych nie zaspokoją nawet w 10 proc. istotnych potrzeb terenu.

Zarząd Powiatowy Związku zamierza w najbliższym czasie [illegible] wić kursy dokształcające dla: księgowych, rachmistrzów i członków zarządów Gminnych Spółdzielni. Tabor Powiatowego Związku, składający się z 5-ciu samochodów ciężarowych i 1 osobowego przeznaczony jest całkowicie do bsługi spółdzielni w terenie.

GODNE POCHWAŁY

Pracownicy „Społem" Okręgowego Oddziału Rolniczego i Przemysłowo-Rolnego w Gdańsku stawiając sobie za cel:

„Najwybitniejszy udział w odbudowie kraju przez najsprawniejsze i jaknajtańsze obsłużenie terenu województwa gdańskiego na odcinku usług w zakresie wymiany towarowej między wsią a miastem"

przystępują z dniem 1 kwietnia 1948 r. do wewnętrznego wyścigu pracy.

JUGOSŁAWIA SPÓŁDZIELCZA

Znany działacz i autor licznych publikacji o spółdzielczości Józef Dominko, jesienią 1947 roku wziął udział w 10-osobowej delegacji spółdzielców polskich, którzy na zaproszenie spółdzielców jugosłowiańskich wyjechali do Belgradu. Celem tej wycieczki, która przeciągnęła się przeszło 3 tygodnie, było zapoznanie się ze strukturą spółdzielczości w narodach jugosłowiańskich, budujących nowy, na zasadach sprawiedliwości oparty, ustrój gospodarczo - społeczny.

Wnikliwe spostrzeżenia, zwłaszcza w dziedzinie spółdzielczości stały się treścią żywo i barwnie napisanej, zwięzłej broszury, która ostatnio ukazała się na półkach księgarskich, jako wydawnictwo Spółdzielczego Instytutu Naukowego. Publikacja ta ma właśnie w chwili obecnej, gdy nadchodzące z Jugosławii wiadomości stwierdzają ofiarność całej ludności tego pięknego kraju na cele ogólne zwłaszcza łączące ze spółdzielczością specjalną wartość, gdyż pozwala na zrozumienie panującej tam atmosfery i nastroju, poza tym przeczytanie jej pozwala lepiej zrozumieć przeprowadzoną ostatnio reorganizację ustroju spółdzielczości.

Szybka budowa ustroju socjalistycznego wydobyła na wierzch całe zastępy utalentowanych jednostek z warstw ludowych. Podczas naszej trzytygodniowej podróży po Republikach spotykamy—pisze autor—w różnych okolicznościach bardzo wielu ministrów, biorą oni wszędzie żywy udział w pracy spółdzielczej. Byliśmy ciekawi skąd oni pochodzą i czym byli przed wojną. Z reguły odpowiadano nam, że to niedawni drwale, fornale, robotnicy, czasem nauczyciele. Wychowali się oni, zahartowali w wojnie partyzanckiej, w ogniu rewolucji.

„...przewrót społeczny wywołał entuzjazm dla pracy. Cała Jugosławia odbudowuje się i rozbudowuje — i to w znacznym stopniu — bezpłatną, dodatkową, dobrowolną pracą ludności, widzieliśmy autostrady, całe osiedla robotnicze budowane ochotniczym wysiłkiem starszych i młodzieży po godzinach pracy zawodowej czy nauki. W Belgradzie mieszkańcy zorganizowani we Froncie Ludowym przebudowali całe ulice, urządzili place. Głośny jest na cały świat wysiłek zorganizowanej młodzieży Jugosłowiańskiej, która podczas dwumiesięcznej służby obywatelskiej, pełnionej na zmianę, wybudowała w 1946 r. kolei szerokotorowej długości 91 km, a w 1947 r. 240 km..."

*) Józef Dominko — Jugosławia Spółdzielcza, Warszawa 1948 r. Wydawnictwo Spółdzielczego Instytutu Naukowego.

DLA PRZYKŁADU INNYM

Zainicjowana przez Bank Gospodarstwa Spółdzielczego akcja dobrowolnego oszczędzania wydaje coraz lepsze rezultaty. Ostatnio notujemy dalszy udział świata pracy w tej akcji.

Z okazji święta kobiet Zarząd Spółdzielni Pracy „Sowa" (Polna 40) wręczył wszystkim swoim pracownicom w liczbie 68, książeczki oszczędnościowe BGS wpłacając na każdą z nich po 500.— zł, co daje sumę 34.000 zł. Zarząd Spółdzielni Pracy Tapicerów i Dekoratorów (Zgoda 4) wyznaczył kwartalne premie dla tych pracowników swej Spółdzielni, którzy w stosunku do swoich zarobków najwięcej zaoszczędzą.

Nie wątpimy, że te przykłady znajdą godnych naśladowców.

Z POLSKICH EKRANÓW

„OSTATNI ETAP"

Nie można zaprzeczyć, że zapowiedź nowego filmu polskiej produkcji została przyjęta bardzo nieufnie. Zarówno zapaleni wielbiciele filmu jak i zwykła publiczność po pierwszych nieudanych próbach, jak „Zakazane Piosenki" czy „Jasne Łany" nie mogli uwierzyć, że potrafimy stworzyć obraz naprawdę dobry. Niejednokrotnie słyszało się zarzuty, że upieramy się nie wiedzieć w imię czego — chyba dla własnej próżności i braku poszanowania pieniądza — w zamiarach robienia dużych filmów, o których produkcji i zmontowaniu nie mamy jeszcze pojęcia, zamiast narazie pozostać przy realizacji doskonałych ...ażówek.

To też zapowiedź filmu dokumentarnego z obozu w Oświęcimiu, była tą kroplą, która przepełniła kielich rozgoryczenia. Chyba nikt — prócz Instytucji „Film Polski" — nie wierzył, aby to mógł być obraz, który będzie na poziomie, obraz, który będzie można nazwać dokumentarnym.

A jednak?!

Film okazał się dobry, nawet bardzo dobry. Pokazuje nam okropności niemieckiego obozu tortur, ale bez przesady, bez tej brutalnej makabry, łagodząc wrażenie tam gdzie można, w subtelny sposób, który jednak nic nie ujmuje z prawdziwości przeżyć milionów nieszczęśliwych, a przemawia do widza o wiele mocniej niż dokładne pokazanie tych okropności.

Czyż nie głęboko zapada nam w serce i mózg obraz dzieci, wesołych i nic nie podejrzewających, maszerujących ze swymi zabawkami do krematorium? My wiemy, że one tam właśnie idą... Ale następny obraz nie pokazuje nam tej gromadki wchodzącej w progi „fabryki śmierci" — tylko olbrzymi magazyn w którym systematycznie leżą poukładane nieprzeliczone ilości tych właśnie, już im niepotrzebnych zabawek.

Albo maleństwo urodzone w obozie skazane na śmiertelny zastrzyk z rąk niemieckiego lekarza - sadysty.

Jakże silnie przemawia do nas ten lekarz — młody człowiek o twarzy kulturalnej i pogodnej, elegancki i wymuskany, gwiżdżący wesołą melodię w tym samym czasie gdy ręce jego o wypielęgnowanych palcach, nabiera ją śmiertelną trucizną do strzykawki. A za chwilę, gdy przed oczami naszymi olbrzymieje przez zbliżenie owa butelka z trucizną — cichnie płacz dziecka...

Film wywiera wrażenie wstrząsające zapadając nam w serce i pamięć mocniej niż jakiekolwiek słowo pisane, czy mówione. Chociaż są momenty chwilami słabsze, które zyskałyby przez podkreślenie i wzmocnienie, jak na przykład torturowanie lekarki Eugenii, która przez cały czas nie wydaje z siebie żadnego krzyku ani nawet jęku.

Czy to możliwe? Przecież musi być granica wytrzymałości ludzkiej. I ta Eugenia byłaby nam jeszcze bardziej bliska, bo odrobinę mniej wyidealizowana, gdyby z jej zaciśniętych ust wydarł się mocny, ludzki krzyk!

Na tle okropności oświęcimskiej, wyrasta cudowne, prawdziwe i szczere braterstwo wszystkich narodowości, które tu w filmie podano nam również bez przesady i patosu. Te wydobyte dobre pierwiastki natury ludzkiej mieszają się ze zwykłą słabością ludzką i głupotą czy też okrucieństwem tak jak to jest naprawdę w życiu.

Czy nie piękny jest gest małej Urszulki, pocieszającej Nadię, która przyznaje się, że nie zrobiła zastrzyku jej siostrze, bo ona by i tak umarła; nie wytrzymała by tego życia w obozie".

I czy do pewnego stopnia nie rozgrzeszamy Laury, wymieniającej chleb Urszulki nie na owoc dla jej siostry, ale na „szmatki" które potym poprawią jej byt w obozie, właśnie dlatego, że jest taką przeciętną głupią kobietą? Już nie spodziewamy się od niej niczego...

Trudno omówić wszystkie dodatnie jak też i słabsze strony tego doskonałego filmu, bo można by tomy pisać analizując i nie wyczerpując tematu. Jakubowska stworzyła nareszcie film autentyczny i prawdziwy, operując olbrzymim tłumem więźniów i przybywających transportów z mistrzowstwem. Te tłumy żyją — to nie jest tylko dekoracja. Gra ich jest na miarę monumentalnych filmów amerykańskich.

„Ostatni etap" powinni obejrzeć wszyscy, przede wszystkim z tego względu, że jak już pisałam, obraz utrwala się w nas na dłużej niż to robi słowo pisane czy mówione. Przez oglądanie filmu — zdaje się nam, że uczestniczymy z tymi milionami ludzi zamkniętymi za drutami Oświęcimia, że pracujemy z nimi, giniemy lub przeżywamy moment oswobodzenia. Dzięki temu filmowi nie zapomnimy tych potwornych zbrodni hitlerowskich, które przecież powoli zaczynają się w pamięci zacierać i blednąć. Czas na szczęście goi rany nawet najboleśniejsze, ale na szczęście mamy również „Ostatni etap" — film, który nie pozwoli całkowicie zapomnieć ani nam ani tym pokoleniom, które przyjdą...

Mimo niewątpliwych i ogromnych walorów filmu „Ostatni etap" mam jedno zastrzeżenie. Pewnym dysonansem jest dla mnie słabe uwypuklenie postaci więźniarek polskich.

W międzynarodowej grupie bohaterek o specjalnie mocno zarysowanych konturach sylwetek duchowych i moralnych — brak Polki. Czy były jedynie tylko takie poprawne, bardzo zresztą sympatyczne i dodatnie jak Urszulka czy Anielka? Albo takie jak Lalunia czy kapo, która wyrzeka się swojej polskości, dodając z przechwałką, że właściwie to ona nie jest Polką tylko Niemką.

Gdyby można było tego dysonansu uniknąć — film napewno by na wartości nie stracił, a dla nas byłby jeszcze cenniejszy.

Mamy również nadzieję, że „Ostatni etap" — będzie pierwszym etapem dobrej produkcji polskich filmów.

D. Hulimkowa



Scena Zbiorowa z filmu „Ostatni Etap".

ZIOŁA TO ZDROWIE

Zaletą ziołolecznictwa jest to, że często osiągamy pewniejszy skutek leczniczy przy stosowaniu całej rośliny, niż wyodrębnionego z niej jednego pierwiastka czynnego. Takie przekonywujące spostrzeżenia lekarzy fytoterapeutów, wywołują uznanie dla ziołolecznictwa nawet wśród takich lekarzy, którzy do niedawna jeszcze należeli do przeciwników „babskiego leczenia ziołami", a byli zwolennikami niemieckich syntetyków i chemikalii.

Olbrzymia ilość ziół obecnie wypróbowanych leczniczo, to nic innego jak roślinne środki dietetyczne człowieka pierwotnego lub dzikie warzywa naszych przodków. Wiele ziół, których otaczająca przyroda dostarcza nam, jest jednocześnie wartościowymi pożywieniami, środkiem dietetycznym i pewnym lekiem.

Przy stosowaniu ziół przygotowanie odwarów i naparów również potrzebuje pewnego uświadomienia, np. kwasy roślinne i garbnik wchodzą w połączenie chemiczne z metalami, — więc do przyrządzania naparów i odwarów oraz soków ziołowych najodpowiedniejsze są naczynia kamienne.

A teraz z kolei rzeczy zapoznamy się z dalszym arsenałem roślin leczniczych:

Poziomka (liście, korzenie i jagody). Liście i korzenie zawierają sporo garbnika. Tym samym już stosowane są przy biegunkach. Kuracje poziomkowe mają wartość przede wszystkim dla artretyków, gdyż alkalizują ustrój. Wartość lecznicza poziomek polega na przyswojeniu przez nasz organizm soli żelazowych, fosforowych i wapniowych. Świeże owoce zawierają około 0.1 proc. kwasu salicylowego, tak cennego leku przy leczeniu reumatyzmu. Osoby więc cierpiące na reumatyzm, muszą we własnym interesie celowo wykorzystywać dość krótki okres owocowania poziomek.

Chrzan (cała roślina). Działanie przeciwgnilne rośliny jest ustalone przez szereg badaczy. Świeże liście i łodygi zawierają związki siarki, tym samym należą do roślin o działaniu przeciwszkorbutowym. Sok i nalewka spirytusowa z liści chrzanu pobudzają trawienie i posiadają własności przeciwgnilne.

ODPOWIEDŹ:

Missuna z Myśliborza. — Włosów wypadanie i łupież usuwają: chmiel, cebula, mydlik, rumianek, skrzyp, oman, pokrzywa, tatarak i łopian.

Przeciw wypadaniu włosów doskonała jest wódka cebulowa. Przyrządza się ją też w ten sposób: obraną i drobno pokrajaną cebulę należy zalać 70-proc spirytusem, w takiej ilości, ażeby w butelce cebula pokryta była dwukrotnie wysoką warstwą spirytusu. Wytrawiać kilka dni.

Wódką cebulową trzeba przecierać skórę głowy co drugi dzień. Kurację prowadzić wytrwale przez dłuższy okres czasu. Myć włosy ciepłą wodą raz na tydzień. W przeddzień mycia wetrzeć 10-proc. maść siarkową. Zmywać włosy dokładnie w kilku kolejno zmienianych odwarach mydlika. Ostatnie płukanie włosów zrobić z odwaru skrzypu z tatarakiem po pół garści każdego na litr wody.

Odwar mydlikowy przyrządzić z garści mydlika na 5 litrów wody.

Odpowiedzi Redakcji

Stały Czytelnik — Spółdzielca. — Czyni Pan zarzut autorowi artykułu „Amerykanizacja Zachodniej Europy", że dwukrotnie użył w swym artykule słowa „kombinat", chociaż słowo to jest wyraźnym rusycyzmem. O ile nam wiadomo, autor zupełnie nie zna języka rosyjskiego, zna natomiast kilka języków zachodnio-europejskich. Nie jest przeto wykluczone, że autor użył słowa kombinat zupełnie przypadkowo, jako najbardziej odpowiedniego na wyrażenie danego pojęcia myślowego. Zresztą, słowo kombinat należy do tej samej grupy, co rezerwat, traktat itp., które zyskały sobie prawo powszechnego obywatelstwa w języku polskim. Nie mniej jednak podzielamy Pańską troskę o czystość języka polskiego.

P. Kosiński — Kraków. — Serdecznie dziękujemy za słowa uznania. Naszą stałą troską jest, by „TYDZIEŃ" stał się pismem polskiej rodziny. Nie ukrywamy, że walczymy z licznymi trudnościami, jesteśmy bowiem pismem, które utrzymuje się samo, bez jakiejkolwiek pomocy. Otuchą w naszej pracy są liczne słowa uznania, jakie nadsyłają nam nasi Czytelnicy. Sytuacja nasza byłaby lepsza, gdyby prenumeratorzy nadsyłali regularnie i bez opieszałości należność za pismo. Dlatego dziękujemy za nadesłanie zaległej i świeżej prenumeraty i za adresy nowych prenumeratorów. Obyśmy mieli więcej takich przyjaciół.

P. Bartkowiak — Poznań. — Dziękując za miły list podkreślamy, że naszym stałym dążeniem jest postawienie pisma na takim poziomie, by podobało się ono wszystkim. Nie jest to łatwe w dzisiejszych czasach, w których trzeba walczyć z różnymi trudnościami natury technicznej. Przy tym koszty wydawania pisma w porównaniu z jego ceną są niewspółmiernie wysokie. Opieramy jednak nasz byt na zaufaniu naszych Czytelników i jak dotąd nie zawiedliśmy się. Dziękujemy za zjednanie nowych 2 prenumeratorów wraz z prenumeratą.

Okręgowy Oddział Zbożowo - Młynarski we Wrocławiu. Dziękujemy za zwrócenie nam uwagi. Istotnie, zdjęcie zamieszczone w Nr 8 „Tygodnia" przedstawiało nie gmach „Społem" a Elewator Zbożowy „Społem" w Porcie Rzecznym we Wrocławiu.

P. Z. Fajerman w Szczecinie. Po ukazaniu się drugiego numeru „Rozrywki" — prześlemy go Panu.

P. Helena Sowińska w Krakowie. Odpowiedź j. w.

P. Roman Górkiewicz Warszawa, ul. Radzymińska 107. Prośbę załatwiliśmy pozytywnie. Książkę wysyłamy.

P. Józef Dąbek — Nisko ul. Kolejowa 84. Należy napisać do Wojskowego Instytutu Naukowo - Wydawniczego w Łodzi ul. Sienkiewicza, a otrzyma Pan książkę Niemczyńskiego za zaliczeniem pocztowym.

P. Zbigniew Stasiłowicz w Bydgoszczy. Projekty zadań otrzymaliśmy późno, bo już podczas druku numeru świątecznego i dlatego nie mogliśmy ich wykorzystać w numerze świątecznym. Obecnie są już nieaktualne. Prosimy więc o inne. Pierwsze słowo rebusu: „pomysłowa". Do logogryfu dopomoc nie możemy. Udział w losowaniu mają zapewnione nawet ci uczestnicy konkursu, którzy rozwiążą choć jedno zadanie.

P. Stanisław Popieliński — Radzyń Podlaski „Społem". Należy zwrócić się do Sekretariatu Sądu Okręgowego w Warszawie ul. Leszno 53 (listownie).

P. Kazimierz Kudlacik. Można nadesłać kilka zdjęć, ale zamieścimy tylko jedno najlepsze.

P. Zygmunt Zwolski — Pabianice. Pieniądze otrzymaliśmy. Nadesłane zadania wykorzystamy. O „Rozrywce" będziemy pamiętali.

Dr Hajot — Jelenia Góra. Uwagi Pana są słuszne i wkrótce je zrealizujemy.

P. Sierakowska Halina — Gdynia. Drugi numer „Rozrywki" jeszcze nie wyszedł. Pamiętamy o Pani

NOWY KONKURS „TYGODNIA"

Rozwiązań zagadki 31 wpłynęło 321, z czego zaledwie kilkanaście złych.

Prawidłowe rozwiązanie brzmi:
„Z pustego i Salomon nie naleje"

W drodze losowania otrzymali:

NAGRODY KSIĄŻKOWE

Hanka Załucka — Nysa, Żeromskiego 17, Piotr Kowalczyk — kol. Zakrzew, poczta Zakrzew, Lucjan Bocheński — Zielona Góra, Al. Słowackiego 2b, Marian Banasiak — Żychlin pow. Kutno, Lili Kozakiewicz — Mińsk Mazowiecki, Oddział „Społem", Stanisław Gorczyński — Ciechanowiec, pow. Bielsk Podlaski.

PRENUMERATĘ KWARTALNĄ „TYGODNIA"

Elżbieta Zalewska — Olsztyn, Dział dowska 19 m. 1, Jerzy Czarkowski — Parczew, ul. Kościelna 66, J. B. Lewandowski — Koło, ul. Toruńska 2a, Krystyn Grabowski — Tczew, pl. Wolności 11, Eugeniusz Pośiada — Elbląg, Bosmańska 2, Adam Gąsiorowski — Poznań, Solacka 17 m. 2, Jerzy Rogala — Puławy, Słowackiego 24, Władysław Herzig — Piotrków Trybunalski, ul. Słowackiego 26, Władysław Królak — Łódź Radogoszcz, ul. Brzoskwiniowa 28.

Wszystkie nagrody wysłane zostaną pocztą.

Powyżej podajemy zagadkę Nr 35, za rozwiązanie której Redakcja przeznacza

5 NAGRÓD KSIĄŻKOWYCH
oraz
10 NAGRÓD PRENUMERATA KWARTALNA „TYGODNIA"

Termin nadsyłania rozwiązań upływa 18 kwietnia br.

Prawo człowieka

Po rocznej przerwie ukazał się nowy numer „Prawa Człowieka" organu Ogólnopolskiej Ligi do Walki z Rasizmem.

Pismo w zmienionej szacie graficznej, o znacznej rozszerzonej tematyce ukazywać się ma odtąd regularnie, jako miesięcznik.

Na treść składają się zarówno artykuły zasadnicze jak i rzeczy lżejsze, nowele i fragmenty literackie w myśl założeń Redakcji pragnącej znaleźć drogę do najszerszych mas czytelniczych, do zainteresowania ich rozumowego i uczuciowego sprawą wyzwolenia człowieka od wszelkich dyskryminacji religijnych czy narodowościowych.

Zeszyt zawiera m. in. następujące prace: **Juliusz Górecki** — Na drogach walki o prawo człowieka. Trzy dokumenty z życia T. Kościuszki. **Michał Pankiewicz** — Polski antysemityzm w oczach świata. **St. Gąsiorowski** — Za wspólną sprawę. Przyjaźń polsko-palestyńska. **Stefan Otwinowski** — Sprawa felczera Arbuza. **Stanisław Helsztyński** — Przykład George'a Washingtona Carvera. **Bronisław Zawistowski** — Pod gorącym niebem Afryki. **Stanisław Kranff** — Ksiądz Józef. **Bolesław Metreya**—Dwa listy. **Zdzisław Śliwiński** — Brunatny Bracie. **Leonard Życki** — W „Ziemi Obiecanej". **Jan Lachowicz** — Bajecznie kolorowi a wydziedziczeni. Sprawy aktualne i inn.

WIOSENNY KONKURS
NA ROZRYWKI UMYSŁOWE

W dzisiejszym numerze rozpoczynamy nowy konkurs na rozrywki umysłowe, który trwać będzie do dnia 16 maja br. Termin nadsyłania rozwiązań upływa 1 czerwca br.

Za rozwiązanie każdego zadania przyznane będą trzy punkty. Suma największej zdobytych punktów decydować będzie o wygranej. Pomiędzy zwycięzców konkursu rozlosowanych zostanie 10 nagród książkowych, a po między pozostałych, którzy rozwiążą chociaż jedno zadanie — 10 nagród pocieszenia — również książkowych.

Wraz z rozwiązaniem prosimy nadsyłać opinie, które zadania są najlepsze. Za trzy zadania najlepsze wytypowane przez Czytelników, przyzna ne będą trzy specjalne nagrody książkowe. Prosimy o nadsyłanie nowych projektów.

Krzyżówka magiczna

W podaną figurę wpisać wyrazy we dług podanych znaczeń tak, by dały się czytać tak poziomo jak i pionowo.

Znaczenie wyrazów:

1) Kropka w depeszach. — Produkt z węgla. 2) Pięcioksiąg Mojżesza — Część wozu w liczbie mnogiej. 3) Port w Algerii — koc, okrycie. 4) Zjednoczenie Państw Europejskich. 5) Część ciała. 6) Inaczej miedź. 7) Stolica Nor wegii. — Legendarny lotnik. 8) Inaczej głupi. — Tytuł powieści Emila Zoli. 9) Termin sportowy w 2 przyp. — Napój alkoholowy.

El. Staszakówna

Kombinatka

W prawą kolumnę figury wpisać czterozgłoskowe wyrazy o podanym znaczeniu. Z głosek tych wyrazów i oddanej piątej głoski utworzyć nowe wyrazy, które należy wpisać w lewą kolumnę. Głoski wpisane w oznaczone pola czytane z góry na dół dadzą rozwiązanie.

Znaczenie wyrazów: 1. Łyszczyk. 2. Plac sportowy. 3. Otwory w skórze. 4. Gryzoń z rodziny Aguti, żyje w Ameryce Połdn. 5. Wolna przestrzeń niezabudowana. 6. Napój. 7. Kolor w kartach. 8. Imię żeńskie. 9. Jeden ze zmysłów. 10. Rodzaj sportu. 11. Pierwsza gwiazda zmienna odkryta w 1596 r. 12. Kruszec. 13. Prawoboczny dopływ Wisły. 14. Skorupiak. 15. Wyspa w południowych Marianach. 17. Rasa psa. 18. Okręt biblijny. 19. Płaska strona szabli. 20. Lewoboczny dopływ Łaby. 21. Krzew lub drzewo wiecznie zielone.

Artykuł pierwszej potrzeby

Ważnym czynnikiem upowszechnienia książki są spółdzielnie księgarskie, których mamy obecnie w Polsce 279. Posiadają one 406 sklepów, w tym 2 hurtownie.

Spółdzielnie księgarskie — to dzieło społecznej akcji czytelników i wyraz ich potrzeb. Obsługują one około 3 i pół miliona osób osiągając w ciągu roku ubiegłego 1 miliard 751 i pół miliona obrotu. Dążeniem spółdzielczości księgarskiej jest stworzenie tak gęstej sieci księgarń, żeby książka stała się równie dostępna, jak sól, cukier czy inne artykuły pierwszej potrzeby. Pierwszym etapem jest realizacja hasła **w każdym powiecie księgarnia.** Hasło to zostało zrealizowane już prawie całkowicie.

Obecnie spółdzielczość księgarska przystępuje do zorganizowania akcji upowszechnienia książek na wsi. W tym celu spółdzielnie księgarskie we szły w ścisły kontakt ze spółdzielniami Samopomocy Chłopskiej dążąc do tego, żeby w każdym wiejskim sklepie spółdzielczym znalazła się półka z książkami.

Kącik BRIDŻOWY

1) „S" gra pięć pik.

„W" zagrywa asem treflowym, a następnie w małe pik.

	N: ♠ A; ♥ W,6,4; ♦ 8,7,6,5,4,3; ♣ D,W,5	
W: ♠ 9,7,5,2; ♥ 5; ♦ W,10; ♣ A,10,8,6,3,2	N / W E / S	E: ♠ 10,6,3; ♥ K,10,8,7,3; ♦ K,2; ♣ K,7,4
	S: ♠ K,D,W,8,4; ♥ A,D,9,2; ♦ A,D,9; ♣ 9	

Rozwiązanie zadania z Nr. 12

„S" zagrywa asem pikowym i zrzuca asa karo od „N", następnie gra 4 kier i kładzie W kier u „N", z kolei gra króla kier i 2 karo.

L. R.

	N: ♠ 5,4; ♥ D,10,5,3; ♦ A,10,2; ♣ A,7,6,5	
W: ♠ 9,8,7,6; ♥ 8; ♦ 9,8,7; ♣ K,D,W,10,8	N / W E / S	E: ♠ K,D,W,3; ♥ 6,4; ♦ K,D,W,3; ♣ 9,4,3
	S: ♠ A,10,2; ♥ A,K,W,9,7,2; ♦ 6,5,4; ♣ 2	

2) Atu kiery. „S" gra pięć kier, „W" zagrywa królem treflowym.

SKLEROZA

W ubiegłym tygodniu nagrodę w postaci książki Adolfa Dygasińskiego pt. „Zając" otrzymał p. Adam Browar (B.G.S. Warszawa) za nadesłanie wycinka z Nr 84 „Życia Warszawy" z dnia 24 marca br. pt.

ZASTĘPCA KRÓLA

„Studenci krakowscy wyrazili w swoim czasie chęć odbudowy kolumny Zygmunta w Warszawie. Ponieważ jakoś nie spieszyło im się ze zrealizowaniem obietnicy — wprowadzenia Zygmunta Starego na Plac Zamkowy podjął się Zw. Zaw. Prac. Budowlanych. Studentom krakowskim natomiast jako następcę króla zaproponowano Mikołaja Kopernika, znajdującego się w znacznie lepszym stanie i nie wymagającego tak wielkich wkładów jak Zygmunt..."

Wątpimy czy Zw. Zaw. Pracowników Budowlanych „wprowadzi Zygmunta Starego na Plac Zamkowy", bo grozić by to mogło nową wojną polsko - szwedzką, gdyż niewątpliwie Szwedzi upomnieliby się o krzywdę wyrządzoną Zygmuntowi Wazie.

REYMONT PAMIĘTAŁ O DZIENNIKARZACH

W notatce „Losy spadku po Reymoncie" donosi „Warszawski Wieczór":

„Reymontowa zmarła w lipcu 1944 r., na miesiąc przed Powstaniem Warszawskim, nie pozostawiając żadnego testamentu".

O kilka wierszy dalej w tym samym artykulku donosi ob. redaktor:

„Dodać należy, że testament, jaki Reymontowa zostawiła przed śmiercią, nie został jeszcze otwarty...".

Szkoda, że artykuł się kończy, bo o kilka znowu wierszy dalej byłaby zapewne następna konsekwentna wiadomość:

„Nadmienić musimy, że testament Rejmontowej został otwarty przez naszego sprawozdawcę, przyczym okazało się, że Reymont dokonał zapisu na rzecz swojego kolegi po piórze. Ze swoich księgozbiorów mianowicie przeznaczył dla naszego sprawozdawcy podręcznik logiki".

(Nadesłał Wł. Matyaszewski z Lublina).

PIOSENKI, KTÓRE POWINNY BYĆ ZAKAZANE

Te nie zakazane, niestety, przez cenzora piosenki „Filmu" brzmią („Film nr. 2 — 34 str. 4).

„Samym jednak najlepszym dekretem **nie można było ZADEKRETOWAĆ NOWEGO DUCHA, nowej treści naszego filmu. Ta wypływa, ta musi istnieć i wyrastać z tych, którzy tworzą nasz film".**

Można melancholijnie pokiwać głową... A szkoda... Szkoda, że „Film" **musi istnieć z tych, którzy go tworzą"..**

W tym przekonaniu upewnia nas informacja, zamieszczona na stronie szóstej:

„Piękną bohaterską Jugosławię rzadko oglądamy na ekranie. Fotogeniczne walory pejzażu jugosłowiańskiego nie były dotychczas wykorzystane, być może DLATEGO, ŻE PRZED WOJNĄ ISTNIAŁA W JUGOSŁAWII RODZIMA PRODUKCJA FILMOWA".

Naturalnie — tylko dlatego!

Na str. 14 znowu czytamy, że film produkcji czeskiej pt. „Syrena"

„zdobył na Międzynarodowym Festiwalu w BENATKACH w roku ubiegłym wielką nagrodę Bienanale jako najlepszy film tego konkursu".

„Benatky to poprostu — poczciwa Wenecja po czesku. Okazuje się jednak że jest to zarazem zastosowanie prywatnego szyfru autora notatki, że według tego samego szyfru słowo „sprawozdanie" nazywa się „skleroza mózgu.

(Nadesłała Adela Cichocka z Łodzi)



FARBOWANIE TKANIN SPOSOBAMI DOMOWYMI

Obecna nie nazbyt łatwa sytuacja materialna dla wielu rodzin zmusza często panią domu do najrozmaitszych „spekulacji" przeróbkowych, które mają na celu zrobić „ze starego — nowe". Jednym z takich poważniejszych zabiegów regeneracyjnych jest farbowanie starych tkanin „własnym przemysłem". Praca ta nie należy wcale do najłatwiejszych i wymaga pewnych zasadniczych wiadomości, o ile chcemy być pewne dobrych rezultatów.

Jedne barwniki wymagają gotowania podczas farbowania, innymi można farbować „na zimno" tj. tylko **w gorącej wodzie** — bez potrzeby gotowania. Ten drugi sposób barwienia stosuje się przede wszystkim do tkanin lekkich i delikatnych, szczególniej ze sztucznego jedwabiu, którym gotowanie szkodzi. Przy farbowaniu grubszych i bardziej ścisłych tkanin — jeżeli chcemy uzyskać ciemne kolory — lepiej jest gotować. Farbowanie tkanin wełnianych wymaga zawsze gotowania.

Przed kupnem barwnika należy tkaninę zważyć w suchym stanie, by wiedzieć jaka ilość barwnika jest potrzebna.

Przy wyborze koloru barwnika należy mieć na uwadze:

1) Białe tkaniny można farbować na kolory dowolne;

2) Na czarny kolor można przefarbować każdą tkaninę;

3) „Stary" kolor będzie miał zawsze duży wpływ na kolor, który chce my uzyskać farbowaniem. Podajemy tutaj spis barw, jakie **w przybliżeniu** otrzymają po ufarbowaniu tkaniny kolorowe:

Czerwona tkanina ufarbowana barwnikiem:

niebieskim	— otrzymuje	kolor fioletowy,
fioletowym	„	„ czerwono - fioletowy,
zielonym	„	„ brązowy,
żółtym	„	„ pomarańczowy
brązowym	„	„ czerwono - brązowy

Fioletowa tkanina ufarbowana barwnikiem:

czerwonym	— otrzymuje	kolor czerwono - fioletowy
niebieskim	„	niebiesko - fioletowy
zielonym		„ marynarski
żółtym	„	„ oliwkowy,
brązowym	„	zielony

Niebieska tkanina ufarbowana barwnikiem:

czerwonym	— otrzymuje	kolor fioletowy
fioletowym	„	„ niebiesko - filoetowy
zielonym	„	„ niebiesko - zielony
żółtym	„	„ ciemno - brązowy
brązowym	„	„ ciemno - brązowy

Zielona tkanina ufarbowana barwnikiem:

czerwonym	— otrzymuje	kolor brązowy
niebieskim	„	„ niebiesko - zielony
fioletowym	„	„ marynarski
żółtym	„	jasno - zielony
brązowym	„	„ oliwkowo - zielonkawy

Żółta tkanina ufarbowana barwnikiem:

czerwonym	— otrzymuje	kolor pomarańczowy
niebieskim	„	„ zielony
fioletowym	„	„ oliwkowo - zielony
zielonym	„	„ jasno - zielony
brązowym	„	„ żółto - brązowy

Brązowa tkanina ufarbowana barwnikiem:

czerwonym	— otrzymuje	kolor czerwono - brązowy
niebieskim	„	„ ciemno - brązowy
fioletowym	„	„ ciemno - brązowy
zielonym		„ oliwkowy
żółtym	„	„ żółto - brązowy

Chcąc osłabić wpływ dotychczasowego koloru na nowe farbowanie należy uprać uprzednio tkaninę w gorącej wodzie mydlanej. Przy farbowaniu nierówno spłowiałych tkanin bardzo jest trudno osiągnąć równy kolor; tkaniny takie należy również przeprać w gorącej mydlanej wodzie. Chcąc przefarbować ciemną materię na jasny kolor lub osiągnąć na kolorowej tkaninie taki kolor, jakiego nie można otrzymać przez zwykłe farbowanie (np. fioletowy kolor na zielonej tkaninie lub zielony na fioletowej) — należy usunąć całkowicie dotychczasowy kolor za pomocą odbarwiacza (można go nabyć wraz z barwnikiem), o ile przez wypranie w gorącej wodzie mydlanej nie da się tego osiągnąć. Odbarwiaczem można też wywabiać plamy przed farbowaniem, ponadto służy on do wybielania bielizny.

Barwniki można otrzymać w kilkudziesięciu kolorach. Bledsze odcienie niż pokazane w kartach kolorów można uzyskać używając mniej barwnika.

Do farbowania firanek, koronek itp. używamy specjalnych farb tzw. firankowych.

Przed farbowaniem należy odpruć metalowe guziki, wywabić plamy i starannie wyprać delikatne tkaniny w ciepłej wodzie mydlanej, inne — za pomocą gotowania w wodzie z mydłem, aby usunąć brud, kurz i ewent. apreturę, która utrudnia farbowanie.

Jeżeli farbujemy garderobę z grubszego lub ścisłego materiału i mamy ją potem przerabiać — to należy ją popruć, gdyż farba w szwach może dojść niezupełnie, pozostawiając jaśniejsze pasy.

Barwnik rozpuszcza się w niewielkiej ilości wrzącej wody i cedzi przez gałganek do odpowiednich rozmiarów naczynia, w którym dobieramy go wodą. Wody należy dodać tyle, aby tkanina mogła swobodnie pływać w roztworze. Ilość użytej do farbowania wody nie ma wpływu na intensywność koloru tylko na czas farbowania. Im więcej użyje się wody tym tkanina farbuje się wolniej, ale zato równiej i ładniej.

Do farbowania najlepej używać naczyń emaliowanych.

W każdym roztworze barwnika powinno się farbować tylko jednakowe rodzaje tkanin: oddzielnie wełnę, oddzielnie bawełnę itp.

Do roztworu wkłada się **mokrą** tkaninę, ciągle porusza i przewraca ją za pomocą dwóch cienkich kijków oraz uważa, by przez cały czas procesu farbowania była całkowicie pokryta roztworem. Przy farbowaniu należy trzymać się jak najściślej przepisów podanych na opakowaniu barwników.

Przy sprawdzaniu, czy tkanina ufarbowała się dostatecznie i równomiernie, należy pamiętać, że tkaniny w mokrym stanie (za wyjątkiem wełen) wyglądają znacznie ciemniej niż w suchym. Chcąc się więc upewnić, czy uzyskałyśmy żądany kolor — najlepiej wyjąć z roztworu barwnika kawałek tkaniny, wyżąć go, wysuszyć ręcznikiem lub przeprasować żelazkiem.

Po ufarbowaniu materię płukać tak długo, aż woda będzie wykazywała zupełnie słabe zabarwienie, następnie — **nie wyżymając** — powiesić (najlepiej na kiju lub wieszadle) lewą stroną na zewnątrz (żeby na stronę prawej nie osiadał kurz) i po przeschnięciu — jeszcze wilgotną — prasować.

Wystrzegać się suszenia na słońcu.

Materiały, które się kurczą, należy rozpinać w wilgotnym stanie za pomocą szpilek na stole.

Piękny połysk na jedwabiach uzyskuje się przez dolanie octu do roztworu barwnika na krótko przed wyjęciem tkaniny.

Jeżeli tkanina ma być krochmalona — można rozpuszczony barwnik wlać do roztworu krochmalu i jednocześnie z farbowaniem krochmalić.

Ręce i naczynia po farbowaniu łatwo wymyć mydłem i sodą.

(C.d.n.)

KĄCIK FILATELISTYCZNY



Nowości Czechosłowacji są u nas oczekiwane zawsze z dużym zainteresowaniem. Ładne wykonanie bardzo staranne i pomysłowe, wierne trzymanie się planu wydawniczego, ogłaszanego z początkiem każdego roku — przysparza zwolenników zbierania znaczków tego kraju.

Od 15 lutego są w obiegu w Czechosłowacji nowe znaczki opłaty, wprowadzone w związku ze zmianą taryfy pocztowej na terenie tego państwa (na liście nalepia się teraz znaczek za 3 Kcs, a na karcie za 1,50 Kcs, podczas gdy dotąd wystarczały znaczki za 2,40 i 1,30 Kcs). Jak dotąd z nowej serii są w obiegu trzy wartości: 1,50 Kcs (brunatny), 2 Kcs (czerwonofioletowy) i 5 Kcs (niebieski). Wszystkie te znaczki przedstawiają podobiznę prezydenta Benesza według fotografii wykonanej przez prof. Ehma. Znaczki te były drukowane w zakładach „Unii" w Pradze i „Prawdy" w Bratysławie.

Następna seria czechosłowacka weszła do obiegu 7 marca. Była to pierwsza część serii sokolskiej, o której pisaliśmy już w numerze 12 (88) „Tygodnia".

Wreszcie ostatnio, bo w tym tygodniu, ukazała się seria z okazji sześćsetnej rocznicy założenia Uniwersytetu Karola w Pradze dnia 7 kwietnia 1348 roku. Uroczystości z tego powodu trwały od 6 do 10 bm.

Seria składa się z czterech wartości: 1,50 Kcs (sepiowobrązowy), 2 Kcs (jasnobrunatny), 3 Kcs (czerwonobrązowy) i 5 Kcs (niebieski). Znaczki te projektował prof. Karel Svolinsky, a rył J. A. Svengsbir. Na znaczkach tych powtarzają się dwa motywy. Pierwszy motyw zaczerpnięty jest z pieczęci uniwersyteckiej, pamiętającej czasy jego założenia, a przedstawiającej założyciela uniwersytetu króla Karola IV klęczącego przed księciem czeskim Św. Wacławem. Drugi motyw, to podobizna Karola IV, cesarza rzymskiego i króla czeskiego. Znaczki te, w dużym formacie, mają też czeskosłowackim zwyczajem dodatkowe kupony.

W pierwszym dniu używania tych znaczków była wydana specjalna koperta, wykonana także przez Svolinskiego i Svengsbira, a znaczki kasowane były okolicznościowym stemplem.

Następnych znaczków czeskosłowackich doczekamy się najprawdopodobniej dopiero w drugiej połowie czerwca, choć w wielu zagranicznych pismach filatelistycznych czytamy, że w związku ze zmianą rządu w Pradze ulec ma też pewnym zmianom i tegoroczny plan wydawniczy. Ile w tym jest prawdy nie wiadomo. Oficjalnie dotąd nic nie ogłoszono, ale i nie dementowano tych pogłosek.

Witold J. Orłowski

„Maski" kosmetyczne

Skuteczną kuracją przeciwzmarszczkową są również „maseczki" parafinowe lub woskowe.

Maski parafinowe robi się z kawałków czystej parafiny, którą roztapiamy, dodając do niej — gdy jest jeszcze w stanie płynnym — siarkę, kwas salicylowy, ekstrakty ziołowe i zapachy. Po starannym umyciu i osuszeniu twarzy, specjalnym pędzelkiem rozsmarowujemy na twarzy spreparowaną jak wyżej konsystencję parafinową (ponownie rozgrzaną i rozpuszczoną), przy czym należy pamiętać, by twarz w trakcie „smarowania" była spokojna i bez grymasów mimicznych. Po dziesięciu minutach zdejmujemy z łatwością zastygłą w międzyczasie „maskę", która wypełniła fałdki i zmarszczki, wygładzając tym samym twarz.

Obok masek parafinowych wzgl. woskowych, szeroko stosowane są również maseczki z białek jaj, które sztywniejąc wypełniają i na jakiś czas wygładzają zmarszczki.

Podam Paniom przepis na przyrządzenie bardzo nieskomplikowanej a skutecznej maseczki „domowej". Bierze się 2 jaka i gotuje na twardo w wodzie różanej. Ścięte białka rozciera się dokładnie z jedną czwartą uncji sproszkowanego ałunu na gładką masę, którą rozsmarowuje się na płótnie lub białym jedwabiu, wyciętym w kształcie maski. Maskę taką nakłada się na noc na twarz, starannie umytą ciepłą wodą z boraksem. Stałe stosowanie takich maseczek czyni skórę gładką, aksamitną i zapobiega wiotczeniu skóry, a tym samym — zmarszczkom.

* * *

Jak widzimy, sposobów zwalczania zmarszczek jest bardzo wiele. Pamiętajmy jednak i w tym wypadku, że raczej należy im zapobiegać, niż je leczyć. Pamiętajmy przede wszystkim o niebezpieczeństwach zbyt forsownego odchudzania i nieumiejętnego masażu. Starajmy się konserwować zdrowie, żyć higienicznie, używając jak najwięcej wody i powietrza, z umiarkowanie — słońca. To jest ostatnia, a jednak na pewno najlepsza recepta przeciwko zmorze urody — zmarszczkom.

Dr med. J. M.

Dział indywidualnych porad kosmetycznych pt. „Pielęgnujemy urodę!" prowadzi w naszym tygodniku znana kosmetyczka warszawska p. **Janina Szymczak** — kierowniczka popularnego gabinetu i laboratorium kosmetycznego — Warszawa, ul. Krucza 46.

B-49058


W WIOSENNEJ NOWEJ SKÓRZE
Modele i fotografie: „MAN"-Londyn, „ADAM"-Paryż

Z SZEROKIEGO świata



W sidła takiego „pajączka" (jest to gwiazdeczka filmowa Jane Adams z Hollywood) chętnie by wpadł niejeden truteń...



Święta Wielkanocne przypadają w Rosji w dwa tygodnie później niż u nas. W Polsce już po świętach — w Moskwie dopiero „kipią" zakupy przedwielkanocne. (Fot. SIB — Moskwa)



Uzbrojone gwardzistki hinduskie nie mogą się poszczycić zbyt groźnym wyglądem.



Światowej sławy treser zwierząt Polak Adamski ze swym pupilem niedźwiedziem - cyklistą.



„Salwa" z aparatów fotograficznych do pięknej modelki na konkursie narybku fotoreporterskiego w Nowym Jorku.



20-letni Holender Bent Svigin, to człowiek - orkiestra. Gra jednocześnie na trzech instrumentach — organkach, gitarze i basetli.



5 małżeństw z Pikardii liczy łącznie... 803 lata. Dwa z pośród nich obchodziły ostatnio gody platynowe, jedno — brylantowe, dwie pary najmłodsze — wesela złote.



Trzynastu zbrodniarzy wojennych na ławie oskarżonych Międzynarodowego Trybunału w Norymberdze. W pierwszym rzędzie siedzą od lewej do prawej: marszałkowie — von Leeb, Sperrle i von Kühler, generałowie — Hoth, Reinhardt, v. Salmuth i Hollidt, admirał Schniewind, generałowie — v. Roques i Reinecke. W drugim rzędzie: generałowie — Warlimont, Woehler i Lehmann.

WYDAWCA: Spółdzielnia Wydawnicza „Tydzień". Redaguje: Zespół redakcyjny. Adres Redakcji: Warszawa, Szpitalna 5 m. 8. Redaktor przyjmuje w czwartki, piątki i soboty od 11 — 13. TELEFONY: Redakcji — 86-164, Administracji — 88-715. Redakcja rękopisów nie zwraca. Prenumerata miesięczna 90 zł., półroczna 520 zł., roczna 1000 zł.

TYDZIEŃ

Konto P. K. O. Warszawa Nr. 1 — 4766. Konto czekowe w Banku Gospodarstwa Spółdzielczego, Oddz. Wojewódzki Warszawa Nr. 107. Ogłoszenia za 1 mm wysokości na szerokość 1 szpalty — 120 zł. W kolorze — 50 proc. drożej.

R. S. W. „Prasa", Z. G. W-wa, Smolna 12, druk okładki wykonały Zakł. Wklęsłodruk R. S. W. „Prasa", W-wa